Nr. 4. Lwów, Niedziela dnia 24. Września 1876 r. Tom IV.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

IV.

BONY.

„Polacy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli“ tak często przez nieżyczliwych nam powtarzane wyrazy, znajdują na nieszczęście bardzo często usprawiedliwienie dla siebie w postępowaniu społeczeństwa naszego. Do wad i przesądów, których zapomnieć nie możemy, a które za Stanisława Augusta u nas się zrodziły, należy niezaprzeczenie prawdziwa manja wielu rodzin zwłaszcza szlacheckich, sprowadzania bon francuskich do swoich drobnych dzieci. Rodziny te czynią to zwykle z tego powodu, że pragną, aby dzieci zawczasu nauczyły się języka francuskiego i oszczędziły sobie przez to trudów, jakie następnie w nauczeniu się obcego języka spotykać je mają. Ten sposób przyswajania dziatwie obcego języka, już dawno przez wszystkich pedagogów za niedorzeczny, dla umysłu dziecięcego za szkodliwy uznanym został, i gdyby publiczność nasza cokolwiek więcej zajmowała się lekturą pożyteczną, cośkolwiek więcej troszczyła się o sumienne spełnianie obowiązków rodzicielskich, literatura pedagogiczna europejska byłaby ją o tem poinformowała. Niestety, wstręt do książki, zarozumiałe opieranie się na własnych, choćby najmylniejszych wyobrażeniach, poleganie na przesądach odziedziczonych po różnych ciotkach i babkach, zastępują miejsce zasad pedagogicznych i psują w zarodzie to, co rozwijać, kształcić i uszlachetniać, najświętszym jest rodziców obowiązkiem.

Nie miejsce po temu, by rozwijać tu zasady pedagogiczne, — jedno atoli przypominamy, a to: że takie papuzie uczenie dziecka obcego języka, gdy jeszcze własnego nie umie, gdy się w nim jeszcze myśleć nie nauczyło, pociąga za sobą ztępienie władz umysłowych dziecka. Dziecię kilkoletnie zmuszone pamiętać kilka wyrazów różnych, jedno i to samo wypowiadających pojęcie, rozwija w sobie pamięć, ale tłumia rozwój myślenia, bo nie starczy mu ani czasu ani siły na wytwarzanie sobie poglądu jasnego o danym przedmiocie. Ztąd też dzieci tak uczone, zwykle w szkołach tępe objawiają główki, nauka przychodzi im z trudnością, pamiętają wprawdzie wiele, ale rozumieją mało i zwykle mało pożytku przynoszą sobie i społeczeństwu.

Bony takie francuskie sprowadza się najczęściej na ślepo, przez pośredników nietroszczących się wcale o to, czy kandydatka posiada kwalifikacje na piastunkę powierzonej sobie dziatwy. Ileż to już było wypadków, że arfinistki, kawiarniane śpiewaczki, pokojówki, dziewki nawet wiejskie, tuczyły się tu polskim chlebem, przyjmowane za bony do polskiej dziatwy. Zadanie bony nie jest tak łatwem, jakby to nie zbyt głęboko myślącemu wydawać się mogło. Wzorem dla bon są ogródki freblowskie i tylko wtenczas bona zadanie swe spełnia, jeżeli postępuje wiernie według zasady freblowskiej. Tego atoli bona musi się nauczyć i nauczyć się powinna, jeżeli ma sumiennie spełniać przyjęty na się obowiązek. A gdzież gwarancja, że owe z zagranicy sprowadzone kobiety nieznanej przeszłości, znają pedagogiczną metodę wychowania, zabawiania dzieci? Czy pyta je kto o świadectwa z odbytych studjów? Wystarcza zwykle w miejsce świadectwa rekomendacja jakiejś pani, kuzynki lub sąsiadki, która znajomość pedagogji i poczucie obowiązków macierzyńskich zasadza na tem, aby dziecię zbytkownie według żurnalu ubierać i zawczasu uczyć je próżności, tudzież aby je papuzio nauczyć francuskiego szczebiotu, zanim jeszcze pacierz po polsku mówić się nauczyło.

Zbytecznem byłoby dłużej zastanawiać się nad wadliwością takiego wychowywania dzieci. Niema człowieka bodaj na pół wykształconego, któryby tej wadliwości nie widział i nieubolewał nad nią. Upartych, zasklepionych w przesądzie zostawiamy własnemu losowi, ale dla ludzi rozsądnych, a dbałych o dobro dziatwy, mamy projekt wielce pożyteczny.

Odkąd zaprowadzono w kraju naszym ogródki freblowskie (o czem pisaliśmy już dość obszernie w „Tygodniu“), co roku kształci się znaczna liczba nauczycielek na ogrodniczki. We Lwowie przy seminarjum, dwadzieścia kilka panien odbyło kurs freblowski pod kierunkiem panny Fryderyki Zielonkównej, którą liczne rodziny błogosławią za mistrzowskie, pełne poświęcenia prowadzenie ogródka freblowskiego. Niech więc rodzice, którzy bony potrzebują, wezmą w dom do dziatwy taką ukończoną uczennicę seminarjum żeńskiego, mającą praktykę piastowania dzieci z ogródka freblowskiego wyniesioną, a pozyskają dla domu siłę inteligentną, która miłym będzie towarzyszem i przyjacielem starszych, a prawdziwą nauczycielką i piastunką dzieci. Musimy dodać, że w tej sprawie początek już zrobiony, mianowicie w domu p. p. K. w Z. Obie strony bardzo tam z siebie zadowolone, a to powinno posłużyć na zachętę wszystkiem rodzinom polskim, które sumiennie i rozsądnie swe dzieci wychować pragną.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nadarzyła się wkrótce jak najprostszym sposobem. Żeliga bowiem na polowanie wyszedł, a Marcinostwo wyjechali do sąsiadów z Justysią, tak, że nie rada odwidzinom panna Agnieszka, została sama i siedziała w ganku upatrując rychło li Barcińscy powrócą, gdy ją niespodzianie zszedł Achinger. Być bardzo może, iż sobie przez swe szpiegi to spotkanie przygotował. Z razu spostrzegłszy go panna Agnieszka uciekać chciała i skryć się, ale pomiarkowała, iżby ta obawa zbyt była znaczącą i pozostała w ganku.

Kuternoga pospieszył z powitaniem i żarcikiem.

— Pani, jak widzę, nie obawia się rozbójników, kiedy tak sama w domu siedzi.

— Ja prócz pana Boga niczego się nie boję — odpowiedziała panna Agnieszka.

— A ja to jeszcze w dodatku i djabła... pani dobrodziejko — rzekł Achinger, boć często się z nim choć w ludzkiej skórze, spotkać można.

To mówiąc zasiadł kuternoga na przeciwko panny Agnieszki na ławie, otarł pot z czoła i począł myśleć od czego począć, aby do swojego przyjść. Westchnął tedy.

— A! pani! pani! gdybyś pani wiedziała co dla niej ludzie cierpią..

Panna Agnieszka spojrzała nań i poczęła się śmiać.

— A toż co? — spytała — czy i pan takie rzeczy mówic umiesz?

— Jakto i ja? dla czego? czym to za stary?

— Tak mi się zdaje, boć to czcze słowa i dla pustej młodzieży zabawka, ani ja ani pan jużeśmy nie do tego...

— No dobrze, tem lepiej — zawołał Achinger — po prostu z mostu mówmy, jak dojrzalszym ludziom Pan Bóg przykazał. Ja pannę Agnieszkę bardzo kocham.

— A ja pana nie...

— Nic a nic?...

— Ani trochę...

— To jeszcze nic nie szkodzi — przerwał kuternoga — miłość jak apetyt nabywa się, nie wierz gębie, połóż na zębie... ja miłości Leonildy dla Koloandra nie wymagam, bo ostateczne postanowienie i małżeństwo święte mam na myśli... Chcesz mnie pani czy nie?

— Ale zdaje mi się, kiedym panu powiedziała, że do niego nie czuję afektu...

— To nic nie dowodzi... ja żądam trochę tylko respektu, tylko...

— Ja zamąż wcale iść nie myślę...

— Bo się pono nie trafiało od niejakiego czasu, ale pomyśl asińdźka teraz, człek ze mnie nie chwaląc się nie ostatni, siebie ani żony w kaszy nikomu zjeść uie dam, majątek jest dobry... tytulik jak się postaram, będzie... familja Achingerów od Rudolfa cesarza...

Panna Agnieszka, która o tym Rudolfie już nie jeden raz słyszała, uśmiechnęła się i przerwała:

— Toć wiem.

— No! to tak jak wszystko — rzekł gość — jak mię asindźka widzisz tak pisz. Kuternoga to prawda, aleć małżeństwo nie taniec.

— Nic przeciwko panu nie mam... ale...— dodała ciszej rumieniąc się panna, ja za mąż iść nie myślę...

— Ej! ej! czemu? czy to miło doczekać na starsze dni łaskawego kąta u familji kiedy swój własny mieć można? po co być na obcych łasce...

— Ale to nie obcy i jam nie na łasce, oburzyła się Agnieszka — bardzo panu dziękuję za tę o mnie troskliwość, ale mi tak jest dobrze...

Achinger potargał wąsa.

— Moja mocia dobrodziejko — rzekł — możeby wziąć do namysłu dłuższego sprawę bo się Achingery nie codzień trafiają.

Czuć było w głosie, że już w nim kipiało, ale panna Agnieszka z uśmiechem odparła:

— Dziękuję za uczyniony mi honor, ale stanowczo za mąż iśc nie myślę.

— Tak?

— Tak panie — dodała — nie poszłam będąc młodszą, dziś zapóźno o tem marzyć.

— Lepiej późno niż nigdy.

— Lepiej nigdy niż późno.

Stuknął Achinger laską w podłogę gankową aż się zatrzęsły słupy.

— Ej wiem ja wiem — rzekł — co to jest... nie małżeństwo pannie wstrętliwe jest ale ja... gdyby tak inny...

— Nie, zaręczam--zawołała już gniewna panna Agnieszka.

— I wiem nawet kto inny...

— O tem wątpię, bo byś pan więcej chyba wiedział niżeli ja sama.

— Podobał się podobno tajemniczy człowiek, ów przybłęda. co to nie wiadomo czy się gdzie z szubienicy oberwał, czy z pod ekonomskiego bizuna...

— Mości panie — porywając się z siedzenia ofuknęła się panna Agnieszka cała pąsowa — ani słowa więcej, lub...

— Nie wiedziałem, że nawet mówić nie wolno... ale pozwól asińdźka dać sobie przestrogę... niebezpieczna to gra, gdzie jeden w masce chodzi, drugi z twarzą odkrytą... byle nie żałować.

— Nie wiem zkąd pan mogłeś posądzić mnie... — zawołała panna — domysł jego fałszywy, ale na przyjaciela domu moich krewnych i człowieka którego szanuję, nic powiedzieć nie dam.

— No! no! proszę się nie gniewać, coś się przebacza miłości — rzekł miarkując się Achinger — prawda żem za gorąco się wyraził, ale też i gorąco poczułem... więc o pardon i milczenie proszę...

W tej chwili szczęściem nadjechali państwo Marcinostwo, zaczęli żartować ze samotnej pary i na tem się skończyło, ale Achinger jeszcze większą i zaciętszą powziął do Żeligi nienawiść, jemu przypisując swe niepowodzenie.

Być może iż miał trochę słuszności, ale Żeliga będąc w najlepszych stosunkach z panną Agnieszką, pono w istocie nie myślał, aby one kiedy ściślejszemi węzły mogły się zakończyć: unikał nawet pozoru przypodobywania. Mniej ostrożną może była sama panna Agnieszka, nie myśląc aby ją posądzić miano o co innego jak o przyjaźń, której się wcale nie wstydziła. Pani Marcinowa z lekka jej czasem napomykała, aby była ostrożniejszą i ludzkim językom nie dostarczała pastwy; rumieniła się naówczas panna Agnieszka i milczała; żartował też niekiedy sam pan Marcin.

— Ej panienko, — mówił grożąc, — coś mi waćpanna myślisz widzę Żeligę bałamucić? czy ci tak w oko wpadł? Niebezpieczna to rzecz rozmiłować się w podżyłym człowieku, bo takie kochanie, jak mówią, do żywota trwa.

— Ale dajże mi pan pokój — broniła się panna Agnieszka — z palcaście to państwo wyssali...

Tak mówiła, ale nazajutrz, w długiej przechadzce z Justysią i Żeligą, wszystkie te przestrogi i żarty się zapominały. Mówiliśmy już, że panna Agnieszka była niegdyś bardzo piękną, mimo lat z górą trzydziestu wdzięk ten zachowała cały, stała się tylko poważniejszą, smutniejszą, ale przebyte strapienia zniesione mężnie nie starły z niej wiekuistego uroku młodości, która nie zużytkowana cała przy niej została. Była więc jeszcze majestatycznie piękną i czas zdawał się oszczędzać to wspaniałe dzieło ręki Bożej.

Żeliga co do powierzchowności był najdziwniejszym człowiekiem w świecie, w ogóle postawę miał męską, wzrost słuszny, czoło odkryte, oko wypukłe, rysy pełne szlachetności, ale się mienił jak nikt. Jednego dnia wydawał się starym, przybitym, znękanym, innych czasów gdy się ożywił, gdy go coś mocniej choćby boleśnie dotknęło, zadziwiająco młodniał, prostował się, krzepił i naówczas obudzał we wszystkich podziwienie pięknością jaśniejącego oblicza. Oczy jego czasem zaszklone, mętne, niekiedy połyskiwały ogniem prawie przerażającym. W tych paroksyzmach młodości widać było, że się hamował i na wodzy trzymał, aby nie dać sobie wybuchnąć, trwały też one krótko, a po nich wracał do spokojnego jakiegoś zdrętwienia, do którego widocznie siłą starał się nawyknąć. Było w nim jakby dwóch ludzi: jeden dawny, drugi nowy. tamten lotny i śmiały, ów cichy i spokojny, ostatni się wszakże rzadko cały objawiał, zasłaniał go pokorny wędrowiec, pragnący zapomnieć jakiejś dokuczliwej przeszłości. Mimo to walka była widoczną i nie zawsze kończyła się zwycięstwem cichego pielgrzyma; gdy człowiek przeszłości brał górę, naówczas Żeliga uciekał w las i nie pokazywał się przez dzień cały, dopóki nieprzyjaciela nie złamał. Powracał też istotnie jak po boju znękany, milczący i osmutniały. W chwilach roznamiętnienia fizjognomja jego nabierała dzikiego wyrazu, fałd przez czoło idący, gruby jak blizna, nadawał jej cechę gniewu przestraszającego; naówczas źrenice jego rozogniały się i nos rozdymał jak nozdrza konia biegiem zdyszanego, ale miarkował się prędko i mając wielką moc nad sobą. powracał do zwykłego oblicza pełnego pokory.

Jak zwykle bywa z ludźmi pozbawionymi długo rodziny, przyjaciół i serdecznych związków, Żeliga był nadzwyczaj czuły na okazywaną mu przyjaźń w domu Barcińskich, przywiązał się do nich, do dziecka i do panny Agnieszki, gorącością człowieka który kochać potrzebował.

Rok już drugi upływał od czasu, jak się Żeliga w Barcinie znajdował, a położenie jego w tym domu wcale się nie zmieniło. Achinger zdaleka tylko i ostrożnie wszystkiemu się przyglądał, panna Agnieszka okazywała mu zawsze jednę i serdeczną przyjaźń, podejrzenia przeszłości dotyczące, niekiedy czemś podsycone wznawiały się to znów usypiały i p. Marcin wreszcie ufał poznawszy bliżej Żeligę, że się on z niczem tak bardzo strasznem kryć nie mógł.

Przybysz zdawał się szczęśliwym i spokojnym.

Tak stały rzeczy, gdy jednego wieczora, podczas gdy Achinger w Barcinie gościł i szpiegował, z cicha śledząc każde słowo i wejrzenie mieszkańców, z zawziętością skrytego nieprzyjaciela, nadjechał z dalekich stron ksiądz staruszek powracający z ziemi świę-

tej. Był to bernardyn kwestujący na ołtarz jednej z kaplic jerozolimskich, w której chciano obraz Matki Boskiej Częstochowskiej dla Polaków pielgrzymów umieścić. Człowiek był już dosyć w lata podeszły, ale przywykły do niewczasów, różnych klimatów, niewygody wszelakiej, i jak to mówią zwiędły; trzymał się więcej duchem niż ciałem, bardzo jeszcze silen i zdrów. Przyjazd jego, pamiątki z ziemi świętej i Rzymu, które przywiózł z sobą, różańce, krzyżyki, agnusy, oliwki z ogrojca, świętości i relikwie, cały dom poruszyły i skupiły w pokoju w którym zasiadł. We drzwiach nawet i pod oknami pełno było sług i czeladzi.

Ksiądz ów miłej twarzy, łagodny, z długą brodą siwą wyglądał patrjarchalnie i cudnie był piękny, a ciekawe też i serdeczne opowiadał rzeczy o kraju uświęconym stopy Chrystusowemi, o Betleem, Nazarecie, Jordanie i Jerozolimie; a mówił tak pięknie, że się go nasłuchać dosyć nie można było.

Podówczas jakoś nie było Żeligi we dworze, wyszedł na polowanie i do dalszego gospodarstwa, gdy powrócił nie było komu dać mu znać o gościu, bo wszyscy skupili się do koła księdza. Przebrawszy się nieco i i niczego się nie domyślajac Zeliga pospieszył zdać sprawę p. Marcinowi z przechadzki... wszedł niespodzianie do izby, w której ksiądz ów siedział, ale zaledwie drzwi uchylił i spostrzegł starca, w progu stanął jak wryty.

Ksiądz też na skrzypnięcie drzwi obróciwszy oczy, zobaczył Żeligę, otworzył usta widocznie zdziwiony, porwał się z krzesła i stanął z wyrazem przerażenia i strachu, jakby osłupiały. Przez krótką chwilę oczyma mierzyli się i jakby porozumieli, oprzytomnieli oba, obecni nie wiedząc co ta scena znaczy, czekali jej rozwiązania, gdy staruszek powoli spuściwszy oczy osunął się na krzesło, a Żeliga przywitawszy się jak zwyczajnie, zajął pokornie miejsce swe u progu, milczący i zmięszany.

Obu tych ludzi wzruszenie było tak jawne, że się z niego przecie przed świadkami wytłumaczyć było potrzeba. Bernardyn przeprosił wszystkich, mówiąc, iż sam nie wiedział, jak i czego się ulękł, a Żeliga pozostał milczący uniewinniając półgłosem, że tak niespodzianie, nagle wszedł do pokoju. Uwierzono temu czy nie, to pewna, że Achinger mrugnął sam sobie dając znak jakiś i księdza do siebie zaraz nazajutrz na rybę zaprosił, zacierając ręce. Wszystkich, nawet pana Marcina dotknęło podejrzenie, iż ci ludzie gdzieś kiedyś, dawniej znać się musieli. Zatrzymano księdza na noc, ale z Żeligą słowa do siebie nie przemówili, owszem zdawali się unikać wzajemnie. Nazajutrz rano odprawiwszy mszę św. w oratorjum, pielgrzym sowicie obładowany odjechał.

Chodziła tylko głucha wieść pomiędzy czeladzią, że gdy ojciec odszedł do oficyn na spoczynek, widziano skradającego się do izdebki Żeligę, który znaczną część nocy z nim przepędził... Ktoś nawet dopatrzył że klęczał przed staruszkiem jakby się spowiadał, że płakał, że głosy ztamtąd wielkie, ale wnet hamowane wybuchały kilka razy, przerywane jakby łkaniem i jękami.

Nazajutrz jednak po odjeździe bernardyna do Achingera, na Żelidze nic znać nie było nadzwyczajnego, owszem weselszym zdawał się niż wprzódy, a spytany nawiasem czy tego księdza nie znał kiedy, milcząc ruszył tylko ramionami.

Bernardyn zaproszony i znęcony obietnicą ofiary pojechał nazajutrz do Achingera, który niby przez zapomnienie nawet pana Marcina do siebie z nim nie prosił. Wszystko było jak najzręczniej obrachowane, aby z staruszka tajemnicę, której się gospodarz domyślał, koniecznie wyciągnąć. Podano objad postny, bo to był piątek, a do niego wino przednie węgierskie i miód stary. Achinger nalewał gościowi pełną, a gdy się dobrze rozgadali, napomknął o Barcińskich, ich domu i Żelidze.

— Ten to podobno asana dobrodzieja, ojcze mój, dawny jest znajomy! — dodał kuternoga.

— He? znajomy? kto? — spytał powolnie staruszek.

— Żeliga...

— Żeliga? żadnego Żeligi nigdy w życiu nie znałem — rzekł spokojnie bernardyn.

— A to może dawniej inne nosił nazwisko — rzekł powoli Achinger — ale ten, ten... coś to się jegomość tak przestraszył gdy wszedł..

— Ale bo to ja taki jestem — przerwał śmiejąc się stary — od czasu jak mnie Arabowie ściąć chcieli, lada czego się wstrząsam... Trzeba wam wiedzieć — dodał, żem już klęczał i poganin dziki dobył miecza by mi głowę odciął, świsnął nim i jam się mimowoli ugiął... Otóż od tej pory wszelki hałas wznawia mi ten przestrach... słabość ludzka.

Achinger popatrzał na staruszka, który miód smoktał i smakował.

— Dobry miodek — rzekł bernardyn.

— A ja myślałem, że to jaki stary znajomy...

— Miodek? miodek? o! o! znałem ci ja różne miody, ale tak dobrego, wytrawnego rzadko

Kuternoga dał pokój na ten raz, ale po kilku kieliszkach począł opowiadać o Żelidze, jak się on do domu Barcińskich wśrubował, jak opanował ich umysły, jak to był człowiek zagadkowy i niebezpieczny.

Bernardyn słuchał, smoktał powoli i głową kiwał.

— E! — rzekł w końcu — czy to się jegomości nie przydaje tak?... czy nie masz do niego jakiej osobistości? To się człek zdaje spokojny i uczciwy... dalibyście mu pokój...

Achinger znów zmilczał, ale po chwili dorzucił:

— A dałbym też na klasztor czy na ołtarz jaki z kilkaset złotych, żeby tego człowieka odkryć co jest za jeden.

— I nie wwodź nas na pokuszenie! — cicho szepnął staruszek stawiając kieliszek... Ja doprawdy nic nie wiem, nic nie wiem, a gdybym wiedział nawet, jeśli to tak waszmości korci, bałbym się, abyś na złe nie użył wiadomości... ale nic nie wiem.

— E! e! ojcaszku — rzekł podochocony Achinger, — ty wiesz ale nie chcesz mówić...

— A może i nie chcę.. ot i kwita — dodał stary — ale najpewniej nie wiem nic. Co mam wiedzieć i dla czegobym miał wiedzieć?... nic nie wiem! — mruczał z cicha — nic nie wiem..

— Duchownemu nie godzi się mówić fałszywie — odparł Achinger — choćby w dobrym celu...

— No i to wiem! wiem, wiem! — przerwał stary — masz słuszność, nie chcę kłamać, znam go doskonale, wiem jego życie ale tajemnicy mu zobowiązany jestem dochować — i dochowam... Więcej wam nie powiem słowa.

Napróżno go na wszystkie strony obracał Achinger, ust mu już więcej otworzyć nie potrafił. Staruszek odmówił modlitwę, przeżegnał się i nie wiele podobno zyskawszy tu, prócz dobrego objadu, natychmiast do Chełma odjechał.

Trzeciego dnia i p. Marcin udał się do Chełma, bo wiedział, że się tam staruszek miał zatrzymać w klasztorze i zastał go tam w istocie. Po różnych rozmowach obojętnych poszli razem do ogrodu, a Barciński otwartszy przystąpił wprost do rzeczy.

— Mój ojcze — rzekł — gdyście byli łaskawi nawidzieć mój domek ubogi, spotkaliście tam Żeligę.

— Kogo! jak nazywacie? — spytał stary.

P. Marcin zdziwiony tą niewiadomością powtórzył imię.

— No... Żeligę, Żeligę. Nie uszło to niczyjego oka, żeście się na widok jego zdumieli... juści to nie przypadek, jest jakaś tego przyczyna. Człowiek ten parę lat już gości u nas, kochamy go jak brata. Zdaje się zacny i poczciwy, ale się z sobą kryje... przeszłości jego nie wiemy wcale. Zdajecie się go znać, nie chcemy badać tajemnicy, jeśli tam jaka jest, radzibyśmy przecie wiedzieć czy w tem nie ma coś.. rozumiecie mnie — dodał p. Marcin.

Bernardyn stanął i popatrzał smutnie.

— Żeligi nie znam — rzekł.

— Aleście go może pod innem znali dawniej nazwiskiem?

Staruszek opuścił głowę, wziął za rękę Barcińskiego i odparł głosem łagodnym:

— Nie badajcie mnie tak proszę... nie badajcie, nic wam powiedzieć nie mogę — i westchnął głęboko.

Stali właśnie w ogrodzie klasztornym nad kwaterą, w której chwasty ogromne bujały, staruszek schylił się ku zielsku i począł ręką między liśćmi jego przebierać.

— Patrzajcie no — rzekł jako osty i łopuchy i pokrzywy wysoko głowy ku słońcu jasnemu podnoszą, a spojrzyjcie co się pod niemi niziuchno kryje... oto zwiędły krzaczek lewandy... oto pożyteczna macierzanka i skromny fiołek... tak i na świecie, co się ukrywa, nie zawsze najgorsze, co się świeci nie koniecznie najlepsze...

Pan Marcin wysłuchał z powagą tej przypowieści, łza mu się w oku zakręciła i zamilkł nie dopytując więcej.

Widocznem było dlań, że tajemnica jakaś na dnie tego wszystkiego spoczywała, ale jej należało poszanować.

Bernardyn milczał, rozstali się mówiąc już o czem innem.

— Niech się więc dzieje wola Boża —

*

rzekł w duchu—szło mi o Agnieszkę, która się z dniem każdym więcej przywiązuje do tego nieznajomego człowieka, ale na to radzić trudno...

Żeliga znać się domyślał celu podróży do Chełma p. Marcina, chodził cały dzień trochę niespokojny, czekał jego powrotu w dziedzińcu, potem ruszył na spotkanie za bramę i spotkał go też na dobrą staję od dworu u rogatki. Spojrzeli na siebie oba, a nim usta otwarli, Żeliga go już oczyma do głębi wybadał, jakby odkryć pragnął myśl w duszy tajoną; uśmiech pana Marcina i dłoń przyjacielsko podana uspokoiły go.

Barciński zlazł z bryczki i poczęli iść pieszo. Po krótkiej chwili Żeliga zatrzymał się i począł głosem drżącym:

— Mój dobrodzieju, potrzebuję się rozmówić z wami, cięży mi na sercu wiele.. a a że brzemienia zrzucić pora przyszła, a z każdą godziną wam ze mną trudniej, mnie z wami przykrzej w tem położeniu, pono panie Marcinie na ten raz rozstać się potrzeba...

Chciał przerwać Barciński, ale mu nie dał Żeliga.

— Dajcie mi się wygadać — rzekł powoli. — Znam ja dobrze położenie moje i com wam winien i sercu waszemu, ale nie znany, okryty dla was jakąś tajemnicą, jestem dla was niespokojem i kłopotem. Za cóż byście mieli dla cudzej winy... Panie Marcinie — dodał — wierzcie mi, że waszego serca dla ubogiego włóczęgi, waszej dobroci, tych chwil które pod waszą przeżyłem strzechą nie zapomnę nigdy, ale opuścić was muszę... Niepokój wniosłem z sobą, potrzeba was od niego uwolnić.

Barciński znowu chciał przerwać, Żeliga go uścisnął i mówił dalej po cichu:

— Nie wiem za co Achinger mnie nie znosi, szpieguje i grozi, wzbudza może i w was jakieś podejrzenia, co dzień wyraźniejsze... pozwólcie mi odejść, to będzie najlepiej.

— Na to nie pozwolę stanowczo wam powiadam — odezwał się pan Marcin, po dwóch leciech pobytu uczynilibyście mi krzywdę bolesną. Gdybyście drugiego lub trzeciego dnia byli odeszli, nie śmiałbym wam zapierać drogi, dziś, jeśli innych powodów ku temu nie macie, nie godzi się to kochany Żeligo, nie godzi. Myśmy przyrośli do was, dziecię nasze kocha cię jako ojca... Macie tu serca wszystkich, a jednego próżniaka zgryźliwa ciekawość wam nie zaszkodzi.

— Kochany mój gospodarzu — rzekł Żeliga — prędzej czy później musi nadejść chwila rozstania... nie dziś, to jutro... nie lepiejże teraz?...

— Nie, nie lepiej, bo widzę, że innego ku temu powodu nie macie, jeno obawę, aby nam nie ciężyć a to jest trwoga próżna.. daremna... Więc dajmy temu pokój. Patrzcie z ganku już bieży do was i żona moja, plaska nam w dłonie obu... nie mówię — dodał ciszej — że tam ktoś jeszcze trzeci stoi i nieśmiało na was spoglada... wszystko to serca przyjazne... Chcielibyście to życie tak spokojne, szczęśliwe, rozerwać tęsknotą, za wami, którego myślą nawet nie wiedzielibyśmy gdzie szukać.

Mówił to tak serdecznie, iż Żeliga umilkł.

— Stań się więc wola wasza — rzekł namyśliwszy się — a daj Boże, bym wam to poczciwe serce braterskie mógł kiedykolwiek zawdzięczyć... tego tylko u miłosierdzia opatrzności proszę.

Został tedy Żeliga znowu, i popłynęło życie swym trybem bez żadnej zmiany, a gdy ono tak płynie jednostajnie, wówczas płynie najskorzej... niepostrzegli, już kilka lat uleciało. (C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

DR. JULJANA OCHOROWICZA.

(Ciąg dalszy).

Czucie *oporu* jest niesłychanie ważnym pierwiastkiem naszej umysłowości; od niego to zaczyna się właściwe pojęcie bytu zewnętrznego i pojęcie naszego własnego ciała w odróżnieniu od obcych. Jeżeli bowiem dotykamy własnego ciała, to doświadczamy *podwójnego wrażenia*. Jedno idzie przez rękę dotykającą — drugie przez rękę dotkniętą, i powtarzając to doświadczenie wielokrotnie w różnych okolicach ciała, dochodzimy machinalnie do przekonania, że ciało nasze jest odrębną całością jako nasze własne. To zaś podwójne wrażenie współcześnie odbierane, jest zarazem miarą do ocenienia odległości różnych punktów skóry. Przyzwyczaiwszy się bowiem odbierać pewne dwa wrażenia razem, czujemy następnie skąd pochodzi i jedno z nich np. ból w kolanie, to znaczy, jaki potrzebujemy ruch wykonać ręką, ażeby tego miejsca dosięgnąć. Tylko też te wrażenia naszego ciała możemy umiejscowiać dokładnie, które mogą być sprawdzone drugostronnie, i właśnie dlatego nie czujemy dokładnie położenia wewnętrznych naszych organów, w piersi np. ponieważ nie możemy ich dotknąć bezpośrednio.

Już z codziennego doświadczenia każdemu wiadomo, że władza rozpoznawania wrażeń dotykowych nie jest jednakową na całej powierzchni skóry. Gdy chodzi o dokładne ocenienie przedmiotu w ciemności, posiłkujemy się dolną stroną dłoni, nie zaś górną. O ile zaś dotyk w ręce zmienia się, jeśli postępujemy od palców do ramienia, przekonywa o tem najlepiej następujące doświadczenie Webera. Jeżeli cyrkiel otwarty tak, że nóżki jego są oddalone na 4 centimetry, przyłożymy końcami do przedramienia jeden koniec wyżej, drugi niżej, to przekonamy się, że lekkie ukłócie czuć będziemy podwójnie; lecz jeśli tylko odległość nóżek zmiejszymy do 3 cent. wówczas oba wrażenia zlewają się w jedno i niechcemy wierzyć otworzywszy oczy, że dotykano nas *dwoma* końcami. Za to palce posiadają nierównie większą umiejętność oceniania odległości. Końcami palców czujemy wyraźnie dwa dotknięcia nawet wtedy, gdy są tylko na 2 m. m. odległe — a koniec języka jest jeszcze czulszym od palców. — Wargi są mniej czułe a policzki jeszcze mniej w miarę oddalania się od ust. To też jeśli dwa końce cyrkla osobno odczute przy uchu posuwać będziemy ku ustom, to doznajemy takiego wrażenia, jak gdyby końce oddalały się ciągle od siebie — co jest złudzeniem i dowodzi tylko, że im bliżej ust, tem wyraźniej czujemy. Toż samo doświadczenie jeszcze dokładniej wychodzi przy przesuwaniu cyrkla dość szeroko rozwartego od ramienia ku palcom: czujemy wówczas najzupełniej rozchodzenie się nóżek, chociaż te pozostają równoległe.

Ale najdziwniejszą będzie próba tego rodzaju na karku, który posiada najmniej rozwinięty dotyk. Możemy cyrkiel rozstawić na 5 nawet 6 centimetrów, a tymczasem ten którego dotykamy, będzie czuł tylko jedno pojedyncze dotknięcie. Wszystkie te różnice wrażliwości skóry jeszcze łatwiej wyjdą na jaw, jeśli weźmiemy przedmiot więcej skomplikowany aniżeli prosta nóżka od cyrkla np. jakąś rurkę okrągłą lub kwadratową lub ołowianą, pieniądz i t. p.

Zachodzi teraz pytanie, w jaki sposób wszystkie te wrażenia powstają? Otóż na mocy licznych badań anatomicznych i fizjologicznych przekonano się, że najważniejszym warunkiem ich powstania są pewne ciałka czyli gruczołki dotykowe, umieszczone pod zewnętrzną powierzchnią skóry. Skóra bowiem z wierzchu jest pokryta warstwą naskórka zupełnie nieczułego w sobie i pozbawionego naczyń krwionośnych — tak, że właściwie jesteśmy ciągle jakby w rękawiczkach, chociaż dotykamy gołą ręką. Pod niemi dopiero umieszczone są owe narzędzia czucia mające kształt wypukłości cylindrycznych lub stożkowatych, albo wreszcie podługowatych pęcherzyków (ciałka Paciniego).

W każdą taką wypukłość wchodzi nitka nerwowa i gubi się w niej zrobiwszy pewną liczbę zakrętów. Ciałka więc czuciowe są zakończeniami nerwów, i bez owych ciałek nie byłoby wrażeń dotykowych — sam nerw bezpośrednio drażniony nie dałby nam żadnego wyobrażenia o przedmiocie; tylko właśnie przez owo pośrednictwo skóry resp. ciałek dotykowych, dochodzimy do rozróżnienia wrażeń. Rozróżnienie zaś nasze będzie tem dokładniejsze, im więcej ciałek dotykowych dany organ posiada. Przekonano się też, że miejsca czulsze posiadają znaczniejszą ich ilość. Tak np. na końcu palców w jednej linii kwadratowej jest ich blisko sto. Im więcej zaś takich ciałek leżyć będzie pomiędzy punktem A i B tem łatwiej je uczujemy oddzielnie. I tu jednak najważniejszą rolę odgrywa wprawa i ćwiczenie, widzimy bowiem, że najdokładniejsze wrażenia dają nam te części których najwięcej do dotykania używamy, i że każda z nich bardzo znacznie podnieść może stopień swej czułości przez ćwiczenie.

Ale oprócz powyższych wrażeń czysto dotykowych, skóra nasza dostarcza nam jeszcze innych — a mianowicie wrażeń *ciepła* i *zimna*. Wiadomo jak ważną rolę odgrywają one w naszem życiu i jak często o nich mówimy. Skóra nasza wydelikatniona przez sposób życia jest bardzo wrażliwą na zmiany najdrobniejsze, ale tylko wtedy, gdy ma bezpośredni środek porównawczy, absolutnej bowiem temperatury nie możemy ocenić dokładnie. I tak: jesteśmy w stanie ocenić $^1/_5$ stopnia w różnicy jednego płynu od drugiego — ale chcąc ocenić temperaturę każdego z nich z osobna, mylimy się o kilka stopni. Nadto woda, w którą zanurzyliśmy całą rękę, wydaje nam się gorętszą od tej w której umoczyliśmy tylko palce. W ogóle, o sile wrażenia stanowi nie istotna temperatura wody lub ciała stałego — ale tylko wyłącznie jej stosunek do ciepła naszej ręki. Wszystkie ciała które przy dotknięciu pochłaniają ciepło ręki nazywamy zimnemi — wszystkie zaś z których ręka ciepło pochłania — ciepłemi; ponieważ zaś temperatura średnia naszej ręki

wynosi 30 parę stopni Cel. będzie to więc niejako punkt zera dla naszego termometru skórnego. Jeżeli cokolwiek ochłodzoną w powietrzu rękę pogrążymy w wodę o 36° Cel. — to uczujemy ciepło — lecz gdy po dłuższem trzymaniu temperatura wody i ręki zrówna się, wówczas nie będziemy już czuli ciepła — a zanurzywszy rękę w wodę do 30° ogrzaną uczujemy nawet chłód — podczas gdy taż sama woda próbowana po ochłodzeniu ręki wyda się znowu ciepłą. Tak samo czucie chłodu, jakiego doznajemy siedząc długo w kąpieli ciepłej, pochodzi nie tyle od ostygnięcia wody, ile od zrównania się z nią temperatury ciała; taż sama bowiem woda po ochłodzeniu ciała w powietrzu wyda nam się gorącą.

Całą względność naszych wrażeń cieplikowych wykazuje najlepiej ten fakt, że np. żelazo lub marmur, posiadające tę samę temperaturę co drzewo, wydają nam się zawsze zimniejszemi: ponieważ są lepszemi przewodnikami ciepła, to znaczy łatwiej je z naszej ręki pochłaniają. Dowodzą tego wreszcie pewne wrażenia smakowe, jak np. pastylków miętowych, które pomimo, że nie są zimne, najwyraźniej wrażenie zimna wywołują. Toż samo w wyższym jeszcze stopniu da się osiągnąć przy pomocy płynów szybko parujących. Eter puszczany strumieniem na pewną część ciała, dla tego tylko, że natychmiast paruje a więc pochłania jej ciepło, jest wstanie tak dalece oziębić część daną, że tracimy w niej czucie nawet na silne wrażenia bolu. Środka tego znieczulania używa się też przy operacjach chirurgicznych.

Wrażenia *bolesne* dotyku stanowią trzecią odmianę jego wrażeń. Dotknięcie zwyczajne, czucie ciepła i czucie bolu muszą być jednak bardzo zbliżone do siebie, ponieważ wtedy, gdy są pojedyncze, nie dają się prawie odróżnić.

Tak np. dotknięcie końcem szpilki rozgrzanym czy zimnym nie daje się rozpoznać i robi wrażenie takie, jak dotknięcie iskry elektrycznej. Dopiero przy zaatakowaniu większych powierzchni, rozróżniamy stanowczo uczucie bolu, od wrażeń dotyku i temperatury. Odrębnych jednak narzędzi do ich rozpoznawania nie posiadamy i różnice ich polegają tylko na różnych warunkach, przy których wrażenia same powstają. Ztąd też bardzo często jedne przechodzą w drugie: tarcie czyli długotrwałe dotykanie daje wrażenie ciepła, a silniejsze drapanie rodzi ból. Nie możemy więc trzech tych rodzajów wrażeń przypisywać trzem oddzielnym zmysłom, pomimo, że często nawet dają się całkiem od siebie oddzielić. Np. oziębienie ręki eterem znosi ból choć nie znosi czucia dotyku — czujemy nóż krający ciało, ale nie czujemy bolu. W niektórych chorobach znieczulenie samo przez się powstaje i dochodzi do takiego stopnia, że chory czuje tylko dotknięcie rozpalonego żelaza nie czując wcale bolu. W tych więc razach brak jest wrażeń bolu i temperatury — a pozostają wrażenia dotykowe. W innych znowu wypadkach znika tylko poczucie ciepła — albo tylko poczucie dotyku. Chory czuje najdokładniej kształt i wielkość ciała, ale nie może powiedzieć czy jest gorące czy zimne — albo też nie czuje zupełnie co mu się włoży w rękę — ale czuje ból przy nakłóciach skóry.

Ze wszystkich przypuszczeń, jakie do wytłómaczenia tych zjawisk podać można, zdaje się, że najbardziej prawdopodobnem będzie następujące: Nerwy dotykowe same przez się mogą czuć tylko ból mniej lub więcej wyraźny. Zaś do czucia dotknięcia lub temperatury niezbędnem jest pośrednictwo organów otaczających zakończenia nerwów. Do wrażenia ciepła lub zimna, niezbędnym jest udział krwi i prawdopodobnie cząsteczkowa rozszerzalność części nerw otaczających. Wreszcie pewnem jest, że wrażenia dotyku zarówno jak i wrażenia temperatury przechodzą w ból, gdy albo są zbyt silne, albo też gdy bodziec zbliża się do samego nerwu.

Ogólna doniosłość wszystkich wrażeń dotyku polega na tem, że dają nam one przy pomocy zmysłu mięśniowego dokładne pojęcie powierzchni ciał, powierzchni ciała własnego w odróżnieniu od obcych, a więc materji w ogóle, pojęcie różnych drobiazgowych własności przedmiotów, pojęcie miary i kształtu, ciepła i zimna, ciał stałych i płynnych w odróżnieniu od lotnych, wreszcie różne rodzaje bolów i dotknięć, jako to łechtania, świerzbienia, nacisku, drapania, gładzenia i t. p; skóra dostarcza nam też mnóstwa przyjemności, z których zwykle wrażenie dotyku łączy się z poczuciem ciepła.

(C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

(Ciąg dalszy.)

Malakal wyspa, na grupie wysp Pelawskich (Pelau)

Ocean Wielki północny.

Dnia 25 Listopada 1871 r.

Przybyłem na wyspy Pelawskie w Lutym 1871 roku, są one podobnie jak wyspy Jap wyniesionemi, plutonicznego pochodzenia. Formacja ich przedstawia dwie formy: bazalty (tufy anderytowe) i wapienne (wyniesione ryfy koralowe), które to oba działy wysp, różniące się powierzchownym wyglądem jak i wegetacją, otoczone są bardzo rozległemi ryfami barjerowemi, zamykającemi w sobie obszerną i głęboką lagunę.

Pelawskie wyspy zostały odkryte przez Anglika Wilsona. Tu osiadłem na wyspie Malakal, na grupie wysp Pelawskich na Oceanie Wielkim północnym. (Karoliny wielkie, Pacific.)

Osiedliłem się tutaj na dobre i jest mi pod każdym względem lepiej jak na wyspie Jap.

Rezydencja jaką sobie obrałem w uroczem położeniu pod wzgórzem, na którem piętrzy się las palmowy, składa się z dwóch budynków własnemi prawie rękami wzniesionych. Jeden z nich mniejszy ale wykwintniejszy jest moim pałacem, choć zewnątrz na prostą chałupę tylko wygląda. Składa się z trzech izb, z których jedna jest moją pracownią, druga sypialnią, trzecia przeznaczona na kuchnię i spiżarnię. Drugi budynek przeznaczony jest na magazyn moich zapasów i pak mających się wysłać do Europy, na arsenał i na kwaterę mojego sztabu i służbę

Wyspa ta, jej brzegi i nurty Oceanu, w których się ona od wieków kąpie, są dla mnie niewyczerpanem źródłem spostrzeżeń, badań i zdobyczy. Jedna ekskursja zbogaca wiedzę badacza i gromadzi ciekawe a dotąd nieznane prawie zbiory. Idźmy naprzykład na morze, na ryf.

Łódeczka moja „Warszawa“ szeroka i płytka, jest pewniejszą od pięciomasztowego Minotaura, gładką swą piersią pruje lekko falującą wodę, lub przeskakuje piętrzące się wały. Ledwie 12 stóp długa a tak lekka, że sam jeden nią z łatwością kieruję. Kilka dzid na ryby, kilka naczyń na spodziewaną zdobycz i wyprawa gotowa. Haloo ho! i żagiel się podnosi, pęcnieje wiatrem, porwana nim łódka ledwie poruszając wodę, szybko się posuwa, a trójbarwisty pawilon z godłem „Warszawa“ sunie się gwałtownie na północ jakby zgadywał, że tam i moja myśl często ulata.

Oddalając się od brzegu, przypatrujemy się dnu stopniowo ginącemu w głębi. Tuż przy brzegu jest ono piaszczyste, zasypane spieczonemi słońcem skorupami muszli, korali i raków.

Dalej nieco dno jest puste, widzimy tylko nagi mulisty piasek. Wprawdzie każda garsteczka tego mułu, miljony istot ożywionych w sobie zawiera, aleśmy w łódce i bez mikroskopu. Jeszcze dalej a znów odmiana, pojedyncze podłużne liście pewnego gatunku Fucus, jak wąskie smugi pną się ku powierzchni. Z pośród piasku tu i owdzie wygląda martwa bryła koralu, w głębi odłamana od pnia matczynego i silniejszym prądem bliżej brzegu rzucona. Często spostrzegamy w kępki zebrane rozmaite rośliny morskie, przezroczyste, galaretowate, zielonkowe mięsiste istoty. Nad większą dopiero głębią poczyna się las korali, najrozmaitszych nazw i form. Tworzą one tu prawdziwy trawnik, las chaotycznie zmięszany, niedozwalający uchwycić i rozróżnić jednostki.

Dno morskie, będące tylko przedłużeniem powierzchni ziemi nie pokrytej wodą, ma też same wyniosłości, załamania, szczeliny, góry i doliny. Przy sprzyjającej pogodzie możemy na kilkanaście sążni ten podmorski chaos podziwiać. Gdzie dno jest bez tworów koralowych i gołym tylko świeci piaskiem, tam oko daleko głębiej sięga.

Chociaż owe rozgałęziające się pnie polipów, są barw dosyć ciemnych, to jednak przy współudziale dwóch czynników, wody i słońca — powstaje często najpiękniejsza gra kolorów, ożywiona, migotająca falującą wodą. Przy zupełnej ciszy możemy wyraźnie rozróżniać całe partje tych podwodnych lasów, ożywionych gromadkami małych rybek, które w gałęziach korali mają swe gniazda. Są one barw różnych, a pięknych: to jak lazury świecą, to błyszczą szmaragdem, to znów są niby z rubinów. Jeżeli chcemy je dostać, dosyć jest odłamać jeden krzew koralowy: przy pospiesznem wydobyciu nad wodę, pewna ich liczba pozostaje między gałęziami i staje się naszą zdobyczą. Również wielka liczba mniej widocznych istot gości tutaj: są to drobne raki, gąbki i porosty.

Zanim pojedziemy dalej, wejdźmy w te lasy. Ów koral, przedstawiający się nam w postaci bądź gałęzistych drzew i krzaków, bądź w płaskich trawiastych porostach, bądź w bryłach okrągłych, jest wapiennym kościem galaretowatego zwierzęcia, budowanym od dołu do góry, przez wydzielinę nadmiaru wapna dolnej części polipa. Górna część jego, ukazuje się na zewnątrz w postaci kurczliwego worka, którego otwór stanowi gębę, i który jest otoczony pewną liczbą w ogóle podobnych do siebie, ale w szczegółach różnych czółków. Ów worek albo kielich będący jednem indywiduem, żyje z tysiącem innych w jednę kolonję związanych na jednem rusztowaniu. Są one pomiędzy sobą kanałami połączone, a zbiór tych kanałów będzie stanowić wspólną jamę ciała. Kielich ten wysuwa się z korala otworem, który znowu bardzo rozmaitym być może u różnych gatunków. Brzegi tego otworu albo mało wystają na powierzchnię, albo wydłużają się w rurkę mniej więcej długą. Każda część galaretowatego ciała polipa ma odpowiedni

utwór wapienny, tak, że i otwór jest przedzielony przegrodami na tyle komórek, ile polip ma czółków. Cała jama, w której polip się kryje, jest podzielona na komórki, których może być 6, 8, 12 lub bardzo wiele. Czasami na zewnętrznej stronie korala widzieć można krawędziste wyniesienia, odpowiadające komórkom i ich przegrodom. Często komórki te idące wzdłuż korala, przedzielane są poziomo niciastemi, blaszkowatemi przegródkami, co tworzy niejako piętra w takich komórkach, a liczbę ich na zewnątrz również można odróżnić przez poziome żeberka.

Taki jeden polip w przelicznych gatunkach, rodzajach i familjach, tworzy kolonje na kształt drzew i brył. Choć dolne korale umierają, żyją za to górne ich gałęzie, martwe z muszlami i piaskiem zmięszane, połączone odradzają się wciąż w górnych warstwach i tak przez wieki potworzyły ryfy, mury, o które potężny Ocean daremnie groźne i pieniste bałwany swoje rozbija.

Ryfy więc są to niby skały, wytworzone przez wiele bardzo generacyj korali, generacyj spoczywających warstwami na sobie, a pierwiastkowo na już istniejącem skalistem wyniesieniu powierzchni ziemi dna morskiego się opierających.

Tworzą się one i budują aż prawie do granicy odpływu morza — gdzie obumierają. Dla tego też górna powierzchnia ryfu pokryta jest martwemi głazami, tylko z rzadka żyjącemi gatunkami, są to tylko niskopienne w bardzo płytkiej wodzie żyć mogące korale, albo po największej części, żyją tu tylko Alcyonidy, mogące kilka godzin żyć w zetknięciu z powietrzem. Dziwna rzecz, że taki koral, choć jak najcieńszy, złamany lada dotknięciem ręki, opiera się w morzu wszystkim nawałnicom burz i są gatunki, które w najbystrzejszych miejscowościach, lub tak zwanem „Brandung“ tj. „ognisku,“ albo „pienisku,“ w miejscu w którem rzucane bałwany w atomowe krople się rozpryskują, korale te najlepiej wegetują.

Ryf tutejszy tj. ten, do którego zmierzamy, jest tak zwanym „barjerowym,“ otacza on całą pelawską grupę wieńcem, w oddaleniu od brzegów kilku do kilkunastu mil angielskich. Oprócz tego zewnętrznego ryfu, jest jeszcze jeden wewnętrzny nadbrzeżny, lecz ten traci charakter prawdziwego ryfu przez swoje położenie i małe pienisko.

Ryfy barjerowe tworząc niejako podwodne okopy, szańce wysp, nie mają jednak podobieństwa do zwykłych nasypów wałowych o szerszej podstawie a węższej powierzchni: są bardzo nieforemnie utworzone, podstawa na dnie morza choć szerokie zajmuje miejsce, ma nierzadko mniejsze rozmiary od powierzchni. Wymiar środkowy często znacznie mniejszy tak, że ryf niekiedy w bocznych konturach ma przybliżone podobieństwo do rzymskiej cyfry X. To nam tłumaczy, dla czego koralowa podwalina drży pod naszemi nogami, zdawałoby się, że razem z nami zostanie spłukaną przez walący się mur Oceanu, ale próżna obawa, od wieków już to walenie ma miejsce, a ryf ryfem stoi i setki wieków stać będzie, chyba że cywilizacja europejska zechce i tutaj próbować mocy humanitarnego wynalazku torpil. Nim to nastąpi, dosyć czasu będzie na bezpieczne badanie dla ludzi trudniących się innemi wynalazkami, mianowicie naturalistów, których przeznaczeniem jest nie niszczyć ale tworzyć, budować świątynię wiedzy, a przynajmniej lepić i gromadzić cegiełki do tej niebotycznej budowy. Tą ideą przejęci i my płyniem dalej, bez trwogi na niebezpieczeństwa, bez obawy o przyszłość.

Płynąc widzimy pod sobą istne lasy kamienne. Lasy te koralowe wypełniają, zawalają i zamurowywują passaże i koryta, tworzą setkami mil na otwartem morzu ciągnące się tamy, wodą ledwie pokryte, dla tego okręta nieświadome drogi, lub burzą zapędzone druzgocą się, jak gliniane skorupy, o grzbiety tych gór podmorskich.

Mówię tu tylko o polipach budujących wapienne skielety, gdyż są jeszcze w wielkiej liczbie inne, które budują odmiennie. Znajdujemy naprzykład polipy mięsiste, na podobieństwo grzybów i roślin, lub krzaczaste na rogowych osiach, inne znów tylko pojedynczemi wapiennemi blaszkami naszpilkowane.

Łódka nasza zatrzymała się właśnie nad takim lasem drzew wapiennych, przeto wspominam tylko o tych polipach, które ściślej oznacza się nazwą Hlerodermata, albo Madreparia. Są one najrozmaitszych gatunków i kształtów. Wyciągnąwszy taki kamienny krzak ujrzymy, że poleje się z niego obficie galaretowa przejrzysta ciecz. Niektóre korale natychmiast po wyjęciu ich z wody giną, inne po kilku godzinach jeszcze powracają do życia w wodzie i pozwalają oglądać swe czółki. Tego rodzaju korale zwykle zamieszkują głębszą wodę od sążnia do kilkuset. Pokrywają one stoki skał i boki passaów.

Przesuwamy się zwolna po nad temi lasami i oko nasze spotyka nieprzeniknioną, ciemnoniebieską, lazurową lub szarą, i czarno-zielonawą głębię, stosownie do pogody i barwy obłoków i nieba. Na takiej głębi przerzynamy poprzecznie passaż lub koryto objętej zewnętrznym ryfem laguny. Strumień stosownie do przypływu lub odpływu morza, pędzi przeciw nam lub z nami. Łódka na nieco większych już falach wspaniale buja, podmuchem wiatru na jeden bok przechylona, pędzi rozdzierając pryskające przed nią fale. W tem kolor wody jaśnieje znów coraz bardziej, gdy dosięgamy przeciwnego brzegu. Wkrótce rysuje się niewyraźnie dno, a w końcu dokładnie je widzimy. Obfity żółty piasek, pokryty trawnikiem lonferr, gdzie niegdzie przeświecającym golizną lub sterczącym krzakami Alcyonid albo niskopiennych korali. Znajdujemy się na piaszczystej ławie dotykającej ryfu, prawie trzy mile długiej, tutaj jest cel naszego polowania. Na małej kotwicy zabezpieczamy „Warszawę“ i sami wskakujemy w morze, które po pas tutaj nam sięga, lecz nieco dalej ledwie do kolan nas podmywa. Za pasem mamy siekierę i wielkie szczypce, w lewej ręce dźwigamy pewien rodzaj sita, w prawicy groźnie potrząsamy dzidą, proklamując zgubę wszystkim nieostrożnym i leniwopletwym rybom. Zaczynamy więc polowanie, postępując w kierunku ryfu, który do tej pory nim do niego zdążymy, będzie nagim, tj. opadłym z wody. Na drodze spotykamy rozmaite gatunki Alcyonid. Są to te same polipy z ośmioma płaskiemi pierzastemi czółkami, ale te krzaki i drzewa nie są z wapna jeno miękkie, giętkie i kurczliwe, w przedarciu włókniste, tracące wodę i objętość. Niektóre z nich odznaczają się pysznemi barwami, widziałem purpurowe, pomarańczowe, zielone itd. co nadaje podwodnej miejscowości najzupełniejsze podobieństwo do bogatego kobierca. Są między niemi bardzo złośliwe i karcą nieświadomą rękę zbieracza, bo są to prawdziwe pokrzywy morskie. Inne znów są uzbrojone widocznemi kolcami, ale nie będącemi dowolną bronią tych istot. (C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

III.

Prześladując wielożeństwo, kościół nie pozwalał żenić się więcej jak trzy razy; trzeciego małżeństwa nie uznawano nawet za sakrament, a czwarte uważane było za zbrodnię. Popy zaś i diakony mogli żenić się raz tylko. Lecz to prawo kościelne bardzo rzadko wykonywano. Nie będziemy mówili o siedmiokrotnem małżeństwie Iwana Groźnego, które cerkiew błogosławiła, grożąc przekleństwem każdemu kto pójdzie za jego przykładem, lecz i prości śmiertelnicy często robili to samo co i Groźny ich władca. W oddalonych prowincjach żeniono się po osiem i po dziesięć razy.

Według patrjarchalnych pojęć, kobieta zawierając małżeństwo nie ma żadnego osobistego celu: małżeństwo nie jest dla niej ani interesem ani przyjemnością, lecz tylko środkiem dla zachowania rodzaju. Pierwsza więc zaleta kobiety była możność zostania matką: ona powinna była mieć dzieci a szczególnie chłopców. Brak dzieci był uważany za największe nieszczęście, za ciężką karę nieba; kobiety modliły się, pościły, odbywały pielgrzymki do miejsc świętych, żeby tylko wymodlić dziecię — chłopca. Bezdzietni mężowie smucili się tak samo jak i ich żony; myśl ta truła im życie, prześladowała na każdym kroku. Mąż nienawidził taką żonę, pogardzał nią, bił, rozwodził się z nią lub zamykał do klasztoru. Te rozwody i zamykania do klasztoru szczególnie częstemi były w rodzinie carskiej. „Caryca powinna była dać następcę carowi i carstwu“ to było jedynym celem jej życia. Zamykanie żon niemających dzieci do klasztoru, odbywało się najczęściej przemocą. Gdy kazano oddać do klasztoru Salomonję, żonę Iwana Wasiljewicza, ona płakała i krzyczała, wyrwała z rąk metropolity ubior mniszki, który jej włożyć usiłowano, rzuciła go na ziemię i deptała nogami. Iwan Szygona, jeden z przybliżonych cara, zaczął ją łajać i bić pletnią mówiąc: „Jak ty śmiesz sprzeciwiać się woli twego pana i zwalczać wypełnienie rozkazu jego.“ Napróżno nieszczęśliwa upewniała, że nie chce iść do klasztoru, że ją zmuszają siłą, wzywała pomsty pana Boga na swoich prześladowców, kościół prawosławny, który zawsze jest posłusznym władzy, kazał ją zamknąć i w celi ciasnej umarła caryca tak, jak i wiele innych bezdzietnych żon carów i bojarów.

Kobieta w Moskwie pracuje niezmiernie wiele i daleko więcej jak mężczyzna. W wielu miejscowościach kobieta kosi, żnie, suszy, młóci miele, rąbie drzewo, naprawia drogi i nosi często takie ciężary jakich nie podejmie silny chłop, gospodarzy w domu, obszywa dzieci, gotuje jedzenie i t. d. Przysłowie moskiewskie mówi, że „mąż wozem nie nawozi tyle, ile żona garnkiem naniesie.“ Lecz ciężka praca i nieustanne gospodarskie zajęcia przypadły w udziale kobiecie tylko ubogiej klasy. Moskiewska pani, czyli ba-

rynia, była spasioną, tłustą i ogłupiałą, w skutek snu, zleniwienia i ciągłego zamknięcia, dla której łaźnia stanowiła największą przyjemność i rozrywkę. Łaźnia dla dawnych moskiewek była tem, czem jest bal dla teraźniejszych. Do ostatnich czasów dzień łaźni był świętym dla kobiet. Po łaźni sługi przychodziły do pani, żeby jej powinszować „że się wymyła.“

Żona powinna być niewolnicą męża, tak mówił kościół, tak mówiło prawo, tak żądał mąż. Jedna z książek, która zawierała całą mądrość ówczesną, tak mówi o kobiecie: „Żony nie należy nazywać panią, bo panem jest tylko mąż, a ona jego sługą. Jakiż władca nazwie panem niższego od siebie? Nie ściągajcie tą nazwą sromu na głowę męża, bo obrazicie Chrystusa, a kto go obrazi temu nie będzie przebaczono ani w tem ani w przyszłem życiu. Mąż powinien uczyć żonę wszystkiego: i jak Bogu być miłą, jak męża zadowolić i jak dom prowadzić; żona zaś powinna być mu pokorną i słuchać go ze strachem. Jeżeli zaś żona jest nieposłuszną, to nie należy bić ją w ucho, lub w głowę kułakiem, drągiem lub kijem, bo od tego może oślepnąć lub ogłuchnąć; lecz należy wziąć dobry batóg i wysiec, bo to i rozumnie i boli i straszno i zdrowo, a jeżeli wina jest wielka to bić po nagiem ciele.“ W przysłowiach ludowych nauka o władzy męża i prawach jego panowania postrachem w domu, wyraziła się w sposób prawdziwie oburzający. „Kochaj żonę jak duszę, lecz trząś ją jak gruszę.“ „Bij żonę przed objadem, a przed kolacją znowu.“ „Bij żonę obuchem, a potem posłuchaj — jeżeli jeszcze dysze, to jeszcze chce.“ „Kogo lubię tego skubię.“ „Żony nie bić znaczy, jej nie kochać.“ Według przekonania nawet kobiet ówczesnych bicie było dowodem miłości i kobiety obrażały się, jeżeli mężowie nie bili ich czasami batogiem lub pletnią. Wprawdzie masa kobiet nie mogła nigdy dojść do tego, żeby życzyć sobie zwierzęcego obejścia ze strony męża, lecz wiele jest i dziś jeszcze, szczególnie pośród niższej klasy, do tego stopnia zduszonych patrjarchalną tradycją, że nawet na myśl im nie przychodzi, iż tyranja męża jest niesłuszną, i że on nie ma prawa bić swojej żony. „Baba głupia, potrzeba ją uczyć rozumu“, powiadają one, „bo kto lubi ten łupi.“ Przeciw niesłuszności powstaje tylko istota szanująca swoją osobę, a nie patrjarchalna żona, wychowana w pojęciach niewolniczych, ogłupiała w rodzinnem więzieniu i pozbawiona wszelkiej miłości własnej.

Tyranja męża przechodziła nieraz wszelkie możliwe granice; on bo robił z żoną co chciał: przedawał, zastawiał, przegrywał jak rzecz lub zwierzę domowe. W czasie głodu nieraz mężowie przedawali żony swoje. W 18 wieku patrjarcha Filaret odkrył, że wielu urzędników wyjeżdżając w dalszą podróż pożyczali pieniędzy dając w zastaw i za procenty żony swoje; jeżeli dłużnik nie wykupywał ich w oznaczonym terminie, to wierzyciel przedawał ją trzeciemu, ten czwartemu i t. d.

Mąż uważał siebie za pana życia żony i nieraz ją zabijał w chwili jakiegoś dzikiego kaprysu. Kostomarów opisuje następną scenę. „Razin, ataman kozacki jeździł po Wołdze. Kozacy pili, jedli i odpoczywali. Obok atamana siedziała jego kochanka, perska księżniczka, którą wziął w niewolę. Ubrana była przepysznie: perły brylanty i drogie kamienie powiększały urok jej oślepiającej piękności. Otaczający już zauważali, że niewolnica zaczęła panować nad sercem atamana. Wtem dowódca napiwszy się wina zrywa się z miejsca, podchodzi do brzegu statku i zwracając się do Wołgi woła: Ach ty Wołgo, matko, rzeko wielka, wiele tyś mnie dała złota i srebra; jak ojciec i matka sławą pokryłaś me imię, a ja tobie niczem nie odwdzięczyłem się: weź i odemnie drogi sercu memu klejnot.“ To mówiąc chwycił księżniczkę jedną ręką za piersi, drugą za nogi i rzucił w spienione fale. Jeżeli w ten sposób mógł mężczyzna ofiarować kobietę dla dowodu, że nie ma na niego wpływu młodość i piękność, czegoż mogła od niego oczekiwać żona w tych wypadkach, gdy go rozgniewała, lub zasmuciła? I do dziś w każdem mieście, w każdej wsi prawie można słyszeć obojętnie opowiadaną historję o tem, jak mąż zabił lub zamęczył swą nieszczęśliwą żonę. W 1871 roku kupiec jeden bił codziennie żonę swoją batogiem mającym dwa palce grubości, nareszcie kazał jej włożyć suknię namoczoną w wódce i podpalił: nieszczęsna życie skończyła w płomieniach... a co dziwniejsza, że ta śmierć nie była pomszczoną, bo w Moskwie nie ma prawa karnego, które by prześladowało za zabójstwo żony lub niewolnika, jeżeli zabójstwo było karą za występek.

Jeżeli mąż i nie zabijał żony swojej, jeżeli jej nie wpędzał powoli do grobu, życie jednak jej było nieustannym łańcuchem mąk i cierpień. Zamknięta w dalekiej izbie w domu, otoczona szpiegami, niemająć prawa wyjść z domu bez pozwolenia męża, za najmniejsze przestępstwo podlega nauce. Nad łożem wisiał batóg wyłącznie przeznaczony dla żony; mąż ciągał ją za włosy, przywiązywał sznurem do łóżka i siekł do krwi batogiem, rózgami lub pałką. Jedną z głównych przyczyn tej tyranji była zazdrość. Zabójstwa w zazdrości niewiernych żon i kochanek były bardzo częste. Mąż mógł niewierną żonę oddać do klasztoru, a sam ożenić się powtórnie: kochanek zaś musiał mu zapłacić pewną sumę pieniędzy. Jeżeli mąż skarżył się na lekkomyślne życie żony i przedstawił dowody, to ją karali pletnią i na kilka miesięcy zamykali do klasztoru na chleb i wodę, a potem odsyłali do domu i tam znowu otrzymywała karę cielesną za zaniedbane gospodarstwo. Ma się rozumieć, że kobieta nie miała możności w tenże sposób karać męża za niewierność. Zostawując sobie monopol miłości żony i swobody za domem, mężczyzna używał wszelkich środków, żeby kobieta poddała się jego poglądom na moralność. Cnotę żony podtrzymywał za pomocą batoga, za pomocą władzy cywilnej i religijnego strachu, nie poddając się żadnym ograniczeniom co do stosunku z cudzemi żonami. Tylko u kozaków, dla podtrzymania ducha wojowniczego, rozpusta z kobietą karała się śmiercią. Jermak karał nadzwyczajnie srogo swoich podwładnych, a Razin postępował nawet nie po ludzku. Raz zdarzyło się, że złowiono kozaka, gdy o godzinie spóźnionej wychodził z cudzego domu; ponieważ nie o kradzież tu chodziło, ataman kazał go rzucić do wody, a nieszczęsną wspólniczkę za nogi przywiązać do słupa wbitego w rzece. Pozwalając sobie wszystkiego, mężowie srogo karali kobietę za jedno łaskawe spojrzenie rzucone innemu mężczyźnie. Toż samo robiły i kobiety, bo głupie niewolnice, zepsute niewolą, z piekielną radością truły plotkami życie sióstr swoich za najmniejsze odstąpienie od wymagań moralności, która gnębiła je same za wszelką dążność do swobody, do której i one dążyły. (C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy).

Atoli nie umysłową tylko ucztę gotuje widzowi arcydzieło Iktinosa i Mnozyklesa, bo tak zwali się mistrzowie, którzy wznieśli Partenon. Gmach ów gotuje ucztę i dla uczucia.

Każdy z nas wie, w skrytości ducha, że jest rzeczą nadzwyczaj miłą obcować z tymi, o których mniemamy, iż wyżej od nas stanęli. Jeden cieszy się, gdy ma do czynienia z ludźmi zajmującymi wysokie stanowisko towarzyskie, inny rad u wysokich urzędowych figur gości, a trzeci wreszcie, tylko zasługę i cnotę ceniąc, szuka tych, u których znaleść może zasługę i cnotę. Każdego jednak bez wyjątku miłość własna wielce pogłaskana, gdy może się poufalić z tymi, których wyższość uznaje. Cóż dopiero dzieje się w duszy widza gdy się mu zdaje, że stanął wśród roju istot idealnych, a więc nad cały rodzaj ludzki wywyższonych! A to złudzenie wraca co chwila w Partenonie. I co więcej, owe istoty nadziemskie ze wszech stron widza otaczają, i nawet, wskutek nadzwyczaj misternego układu żłobków i linij kolumn, widza z sobą jakby do góry porywają, oko i umysł w nadludzkie prowadząc strony. A trzeba wiedzieć, że ów układ linij który widzowi bujać każe, jest arcydziełem misternej i cierpliwej techniki. Choć kolumny wszystkie zdają się podobnemi do siebie, choć tu same tylko widać koła i linje proste, wszystkie linje tu, coraz inaczej a nieznacznie zagięte, wszystkie koła w coraz to inne elipsy zamienione. A wszystko to wykonane z prawdziwie zadziwiającą znajomością praw optyki i architektonicznej perspektywy. Podobnego technicznego cudu nie dokonano pono nigdy w budownictwie.

Ale nam nie o technikę chodzi. Mówiliśmy przed chwilą, że widz w Partenonie wraz z idealnemi istotami jakiemiś oddycha i buja. Otóż gdy widz ów po chwili spojrzy na siebie i na istoty owe, albo spojrzy na innego jakiego człowieka stojącego w cieniu portyku, to dziwna jakaś przejmie go trwoga. Człowiek, w obec tych kolumn, zda się być drobniutką jakąś istotą, owadem wątłym co śmie obcować z niemi. I owe kolumny tak nadludzkie, same wiążą się w większą całość, nieskazitelną jak one — w świątynię Dorycką. Świątynia ta, to niby Zews Grecki, pan ładu i rej duchów, to niby wszechmocna istota, zdająca się jakby innych istot streszczeniem i związkiem. Kopuła Chrześcjańskiego kościoła buja po nad nim, na osobności, jak Bóg osobisty nad światem. Świątynia Grecka jest obrazem greckiej boskości, wielkiem zbiorowiskiem ideałów, nieskończonością, ujmującą świat cały w swoje łono a wcale nie różniącą się od świata. Ale kto w Partenonie gości, ten nie wchodzi w ową symbolistykę, czuje jeno w koło siebie nieskończoność i wszechmoc go otaczającą. I wtedy dziwny a rozkoszny strach napełnia pierś człowieka, co czuje się pyłem w obec bóstwa, a jednak z bóstwem obcuje. Strach ten zowiemy grozą, a jest to może najwyższe uczucie estetyczne.

Podobnego uczucia doznaje dziecko chrześcjańskie, gdy po raz pierwszy zrozumie swoją wiarę, i gdy po raz pierwszy na świat wielki patrząc, pomyśli, że to podnóżek Boży. Nad głową jego lśnią wśród cichej nocy jasne gwiazdy, słońca

tak ogromne, że wyobraźnia przed niemi milknie, a tak odległe, że na odległości owe nie ma słów w mowie ludzkiej. Wyobraźnia dziecka mieni je może światłami, płonącemi na skroniach aniołów śpiewnych. Ale światła owe wszystkie — czy słońca niezmierne, niczem przecie są w obec Pana, który ukochał dziecko małe. Otóż chyba tylko wrażenie dziecka czystsze od wrażenia, którego się doznaje w Partenonie; dziecko bowiem niewinniejsze od gościa, co pod portykiem spoczął, i bo w sercu dziecka więcej jest miłości. Lecz uczucie dziecka po chwili niepowrotnie przeminie, a Partenon stoi na wieki.

Partenon był ostatniem i doskonałem słowem architektonicznego idealizmu, opartego na ścisłym matematycznym i abstrakcyjnym rozumie, a wiodącego do uczucia estetycznej grozy. A skoro jaki kierunek w sztuce ostatnie słowo wypowie, sztuka musi koniecznie za innym nowym poszukać kierunkiem. Inaczej będzie powtarzać tylko i naśladować. To też sztuka Grecka odtąd Doryckie tradycje porzuciła i przeszła coraz bardziej do motywów Jońskich. Styl Joński był wprawdzie mało co późniejszym od Dorycyzmu, ale stał się dopiero po nim panującą modą. Dorycyzm doszedł do artystycznej doskonałości przy końcu szóstego wieku przed Chrystusem, i panował wyłącznie aż do początku Peloponeskiej wojny. Jonizm wziął po nim berło około roku 470 przed Chrystusem i panował przez ośmdziesiąt lat, po których ubiegu ustąpił najpóźniejszemu i najdłużej panującemu stylowi Koryncko[k]iemu.

Nie opisując, na poły Doryckich jeszcze, Propilei, i małej świątyni zwycięstwa, przystąpimy wprost do Erechtejonu, który jest dla stylu Jońskiego tem, czem Partenon dla Dorycyzmu.

Cela tej świątyni, co na akropoli obok Partenonu stanęła, bokiem jednym do przepaści zwrócona, ma harmonijne, znane nam już, podłóżne kształty. Ma 60 stop długości, a 30 stóp szerokości. Dwakroć tedy dłuższa od celi Tezejonu, a o połowę mniejsza od celi olbrzymiego Partenonu. Cela ta stanęła na sążnistem podmurowaniu, które jednak o wiele jeszcze wyższem jest od strony przepaści. W koło tej celi niema portyku, i tylko fryz Joński bieży do koła jej górnej części. U obydwu boków krótszych dźwigały się nad fryzem ledziótkie przyczołki, a krótsze mury celi były zastąpione czterma małemi, na podmurowaniu stojącemi Jońskiemi kolumnami. Przed jednym tylko głównym frontem został daszek w ten sposób przedłużony, że nie na kolumnach celi, ale na sześciu, w jednym rzędzie na posadzce poniżej celi ustawionych, większych kolumnach spoczywa. Rozumie się, że fryz zdobny celi i w koło tego ganeczku bieży. Rozumie się, że nad tym ganeczkiem dopiero zawisł świątyni przyczołek mały, lekki a kształtny. Kolumny Jońskie tego ganeczku mają 21 stóp wysokości, a tylko 2 stopy przecięcia. Są przeto nadzwyczaj lotne i wyniosłe, choć swawolne i lekkie — a przecudnie dziergane.

Do obudwu boków celi, w głębi, więcej od strony morza, przybudowano dwa jeszcze ganki. Są one najmisterniejszem dziełem Jońskiej fantazji. Oba nakryte są sufitem płaskim, kasetowanym, o wielce ozdobnym fryzie, ale bez przyczołku. I brak ten przyczołku umożliwia dziwną lotność tych fantastycznych przybudowań. Obudwu ganeczków sufity stoją poniżej sufitu Erechtejona, tak, że cudnego fryzu celi nie zakrywają. Ganeczek zwrócony ku Partenonowi sparty o sześć niewieścich posągów, z których cztery stanęło rzędem, a dwa w głębi na bokach ganeczku. Młode i silne te postacie niewieście, bez wysilenia ledziutki fryz dźwigają. Nadludzkiej będąc wielkości i idealnej piękności, dodawały zarazem grozy czarownemu gmachowi.

Z przeciwnej strony zwisł większy nierównie fryz nad przepaścią patrzącą na morza. Pod nim stanęło sześć kolumn ułożonych podobnie jak posągi ganku przeciwległego. Kolumny owe są arcydziełem sztuki rzeźbiarskiej. Najstaranniej wykonane z marmuru są dziwnie lotne i smukłe. Wznoszą się do trzydziestu stóp a mają tylko trochę więcej jak łokieć przeciętni.

Ten ład świątyni nie powtarza się przy wszystkich gmachch Jońskich. Tu wolno swobodnej wyobraźni budowniczego w najrozmaitszy sposób ganeczki do celi przyczepiać. Także czysto Jońska świątynia zwycięstwa bezskrzydlnego, która przed Propileami na urwisku samem akropoli stanęła, ma wcale inny układ. Świątynka ta malutka stoi na bardzo wysokiem podmurowaniu. Cela jej kwadratowa ma 18 stóp długości i szerokości, i tworzy przeto nie wielki pokoik. Że tu, dla małych rozmiarów, nie było trudności w zasklepieniu, cały pochyły dach wykonany jest z marmuru. Tu tylko obydwa przyczołki dachu występują na kilku stóp po za celę, i opierają się na drobnych kolumnach Jońskich, których jest po cztery z każdej strony.

Fryz tylko i kolumna nie zmieniają się w stylu Jońskim. Kolumny Jońskie posiadają wysokość 8, i więcej, bo nawet w jednym z ganków Erechtejonu 15 razy większą od swej przeciętni. Nie mogąc tedy na pozór być silnemi, nie są cieńsze u góry, i tylko bardzo z rzadka w wielkich stoją odstępach, i to nie wprost na ziemi, ale jakby w naczyniach, w misternie toczonych podstawkach. Powierzchnia ich żłobkowana, ale i żłobki od siebie, od głownicy i podstawki misternie wyrabianemi listewkami poodzielane. I tu głownica składa się z górnej i dolnej części, i z małego przymocowującego pierścionka, który tu wypuklejszy i staranniejszej roboty. Dolna część głownicy kształtem podobna do Doryckiej, lecz zdobna w rzeźbione, wypukłe oczka i perełki. Górna część zakręca się w cztery krągłe ślimacznice, zdobnie i starannie wyrabiane.

Fryz nie ma ani tryglifów ani mocnych architrawów. Jest to tylko lekkie belkowanie, ubrane w równoległe, poziome, pięknie wyrzeźbione gzymsiki, w których i oczka, i perełki, i kwiatki rzeźbione się powtarzają. U szczytu fryzu bieży wybitniejszy, przecudnie wyrobiony gzyms, na którym widać i kwiaty, i rzeźbione głowy zwierząt. Przyczołki bywają tu zawsze nadzwyczaj lekkie, a sufit ganeczków w drobniejsze strojny kasety, nie przedstawia już potężnego życia Doryckiej świątyni.

Styl Joński zrzekł się rozumowej ścisłości, i matematycznego idealizmu Dorycyzmu. Miejsce rachuby zajmuje tu zręczność sznycerska, którą się budowniczy na każdym kroku popisuje. Każdy gzymsik, każdy kwiatek coraz to nową strawę daje oku, a umysł znawcy pochwala zręczność ręki, co to wszystko toczyła. A prawdę powiedziawszy popularniejszą jest ta zręczność od matematyki architektonicznej. Na tamtej pozna się tylko wybrany, tę każdy będzie podziwiał, i niema niewiasty która by nie przyklasnęła skrzydlatym kolumnom, co w przepaść lotnie zaglądają, a każdy i najmniej wykształcony pozna w tak misternie rzezanej pracy, miły dowód zręczności rodzaju ludzkiego, do którego i on należy.

Cieszy się każdy z nas, gdy zobaczy gdzieś za granicą na pochwałę zasługujące dzieło rodaka. Ono się nam prawie własnem wydaje dziełem, a podobne uczucie odzywa się w piersi ludzkiej i wtedy, gdy się cudne dzieło ludzkie ogląda, choć to zresztą dzieło obce. Mało kto zdoła się oprzeć radośnemu współczuciu, które się zręczności ludzkiej należy, bo i ludzkość w obec reszty świata to jakby naród osobny.

Ale główny urok Jońskiego stylu wcale w czem innem ma swe źródło.

Mężczyzna, który niewieściego wdzięku nie ceni, jest nadzwyczaj rzadką moralną poczwarą. Równie niebywałą i wyjątkową istotą, kobieta dla dzieci nie czuła. A kto ani dzieci ani kobiet słabszych nie ma w swem otoczeniu, ten przywiązuje się do zwierzątka albo do kwiatka. Potrzeba człowiekowi kimś się opiekować. Uczucie to ma swe źródła w dwu różnych wcale właściwościach duszy, a mianowicie w chęci władzy i znaczenia z jednej strony, a z drugiej: w chęci wzmożenia swojej istoty współczuciem i miłością.

(C. d. n.)

POLEGŁYM.

Pole walki zalegli bez ducha
Martwo dzielna spoczęła prawica,
A nad nimi zawisła noc głucha,
Którą tylko łun szkarłat rozświeca...
A w koło nich przez krew i płomienie
Kroczy z czarnym sztandarem zniszczenie.

Czy zasiędzie w purpurze katowskiej
Tron ludzkości sromotnie skalany?
Czy odwrócon od ziemi wzrok boski
Nie ma gromu by dosiądz tyrany?
Oto wykrzyk rozpaczy, co leci
Z łona matek nieszczęsnych i dzieci.

Straszny obraz! ze zgrozą od niego
Wzrok się w nieme przedziera błękity,
Jakby z bolem pytając „dlaczego?“
Tajemnicy chcąc dojrzeć zakrytej,
Co ludzkiemu zasłoniła oku
Wyższe cele — Boskiego wyroku

Czyż tak wolne zaginą narody?
Czyliż taki ich kres ostateczny?
Jak zgnębionych synów swobody
Którzy pomnąc jej uśmiech słoneczny,
Jako kłosy dziś ścięte na łanie,
Krwią stwierdzili swej wiary wyznanie.

Nie, nie! tylko niewierny rozpacza
Mimo śmiechy cynicze bluźnierców,
Blask co czoła tych zmarłych otacza,
Dzika trwoga w źrenicy morderców...
I głos dziejów co przeszłość tlumaczy
Przekonuje inaczej — inaczej!

Jesteś !... Boże światłości przedwiecznej
Coś jest mocen nagrody i kary
Coś policzył gwiazdy drogi mlecznej
I krwi krople serdecznnj ofiary.
Sąd Twój wielki choć zwolna się zbliża
Na skazanych i katów -- u krzyża

Pokój, pokój, wam bracia ofiarni!
Przez te drżące od jęków obszary
Szlemy ku wam wspólnicy męczarni
Pobratymcy niewoli i wiary,
Jedno wielkie nadziei westchnienie
Że na krzyżu zawisło — Zbawienie!

1876. *Marja B.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VII.

Ślady poczynają znikać.

Musiała umrzeć może przed tygodniem. Rysy twarzy zaledwie można było rozpoznać; członki były mocno skurczone. Młody lekarz z uwagą nachylił się nad nią.

— Czy z głodu umarła? zapytał Blunt. Lekarz nic nie odpowiedział, lecz wstał i począł rozpatrywać porozrzucane papiery. Jeden z nich podniósł, powąchał, a potem przyłożył sobie do ust. Po chwili powiedział spokojnie:

— Nie, otruta.

Ludzie w przerażeniu odskoczyli od trupa.

— Sądzę, że przypadkowo, ciągnął dalej lekarz spokojnie; biedna istota głodem znękana, zjeść musiała parę kawałków takiego oto papieru, który nasycono silnym rozczynem arszeniku dla zabezpieczenia od robactwa... głodna kobieta była pierwszą ofiarą ostrożności zbieracza.

Szmer przerażenia i oburzenia rozległ się między obecnymi. „Dla zachowania przeklętych ptaków!“ zawołał rozgniewany Szwajcar. „Gubić kobietę dla zachowania zwierzęcia!“ krzyknął inny. Lekarz uśmiechnął się. Nie bardzo gładko poszłoby doktorowi Devarges gdyby się teraz tu znajdował.

— Jeżeli ten namiętny badacz przyrody żyje jeszcze, rzekł lekarz cicho do Blunta, to dobrze byłoby dla niego, by w najbliższym czasie nie wpadł w ręce naszych ludzi.

— Kto on jest?

— Cudzoziemiec uczony, mający pewien rozgłos w swej ojczyźnie, jeżeli się nie mylę. Devarges — zdaje mi się, że już kiedyś słyszałem to nazwisko, rzekł lekarz, oglądając rozmaite pozbierane papiery. Mówi on o zdumiewających odkryciach, jakie zrobił, i bardzo wysoko, jak widać, ceni swoje zbiory.

— Czy warto je pozbierać i przechować?

— Nie teraz, każda chwila jest droga. Naprzód ludzkość — potem nauka.

Pojechali dalej... Tym sposobem papier i zbiory, z taką starannością pielęgnowane, świadki długich cierpliwych studjów, zabiegów, pracy, pomniki tryumfu nauki i badań, na śniegu pozostały. Wiatr powiał z gór szczytu i rozrzucił je na wszystkie strony; ciepło słoneczne rozgrzało metalowe puszki i głębiej je w śnieg wtłoczyło, jakby chciało na zawsze zakopać.

Idąc brzegiem doliny, gdzie śnieg spadły z gór stopniał, w kilka godzin doszli do obnażonego z kory drzewa, stojącego przy wejściu do nieszczęśliwego kanonu. Plakat jeszcze się tam znajdował, ale drewniana ręka, niegdyś wskazująca kierunek, w którym stały chaty, pochyliła się na dół i na śnieg wskazywała. Ten zaś był tu jeszcze tak głęboki, że towarzystwo musiało pozsiadać z koni i iść piechotą. Prawie mimowolnie odbyło się to wśród powszechnego milczenia; jeden szedł za drugim, tu i ówdzie wspinali się wzdłuż bocznych ścian kanonu, gdzie było łatwiej iść po kamieniach aniżeli po wilgotnym śniegu. W końcu doszli do wystającego z pod śniegu drewnianego komina i kawałka dachu. Tu zatrzymali się i spojrzeli po sobie. Przywódca podszedł ku kominowi i nachyliwszy się nad nim, zawołał.

Żadnej odpowiedzi. Tylko echo rozeszło się po kanonie — i znowu nastąpiło milczenie, przerywane tylko szmerem staczającego się z gór śniegu. Wszystko było spokojne, dopóki Blunt, po pewnem wahaniu, nie przybliżył się do otworu i zszedł do chaty. Zaledwie zniknął, a już powrócił wybladły, nachmurzony i skinął na doktora. Ten poszedł natychmiast. Po chwili reszta towarzystwa weszła także jeden po drugim do wnętrza chaty. Pozostali tam czas niejaki i powoli wynieśli trzy trupy. Znowu weszli prędko i wynieśli pokawałkowane członki czwartego. Potem spojrzeli po sobie w milczeniu.

— Tu musi być inna jeszcze chata, rzekł Blunt po chwili.

— Oto ona! zawołał jeden z ludzi wskazując na komin drugiej chaty.

Teraz już nie doznano wielkiego wstrętu. Najgorsze już wiedziano. Wszyscy przybliżyli się do wejścia i znikli poza niem. Powróciwszy stłoczyli się w cichą, szepcącą, ale gwałtownie wzruszoną grupę. A tak byli zajęci, iż nie zauważyli, że towarzystwo ich zwiększyło się o jedną osobę.

ROZDZIAŁ VIII.

Ślady stają się mniej wyraźnemi.

Był to Filip Ashley! Znużony trudami długiej podróży, z oczyma zapadłemi, ale nerwowo-energiczny. Filip, który na cztery dni przedtem pozostawił Grację w dolinie kalifornijskiej pod opieką gościnnej rodziny osadników, Filip pochmurny, niezadowolony, zagniewany na poszukiwanie, które przedsięwziął; ale dotrzymujący przyrzeczenia danego Gracji i powolny surowemu głosowi własnego sumienia. Ten to Filip Ashley stał teraz na uboczu przed chatą, napół bezwstydnie, na pół obojętnie zwrócony ku towarzystwu.

Lekarz pierwszy spostrzegł jego obecność i z wykrzyknikiem, dowodzącym, że go poznaje, rzucił się ku niemu, wołając:

— Poinsett! Artur! co tu robisz?

Mocna czerwoność wystąpiła na twarz Ashleya na widok lekarza. „Ts!“ powiedział prawie mimowolnie. Potem szybko przebiegł wzrokiem grupę, a następnie rzekł z pewnem pomięszaniem, świadczącem o zakłopotaniu.

— Zostawiłem mego konia wraz z innemi przy wejściu do kanonu.

— Jak widzę, powiedział lekarz żywo, przybywasz, tak jak my, z pomocą; ale przybywasz zapóźno, zapóźno!

— Zapóźno! powtórzył Ashley.

— Tak, wszyscy wymarli, lub wynieśli się.

Szczególny wyraz prześliznął się po obliczu Ashleya. Lekarz, po cichu mówiący coś do Blunta, nie zauważył tego. Po chwili tenże lekarz wystąpił naprzód i rzekł:

— Kapitanie Blunt! to jest porucznik Poinsett z piątego pułku piechoty, dawny mój kolega z którym od dwóch lat spotykam się po raz pierwszy. On tak samo jak my wyszedł dla spełnienia samarytańskiej powinności.

Widoczne ślady szlachetnego pochodzenia i umysłowego wykształcenia, zawsze Filipa cechujące, i serdeczność z jaką lekarz przedstawił go towarzystwu, przemówiły na jego korzyść. Zauważywszy to Filip zaniechał właściwej sobie sztywności.

— Co to są za ludzie? zapytał.

— Nazwiska ich wypisane są na tym papierze, który znaleźliśmy przymocowany do drzewa. Ponieważ żadnego nie zastaliśmy przy życiu, więc naturalnie, nie jesteśmy w stanie sprawdzić tożsamości wszystkich. Doktor Devarges, który mieszkał w tej oto chacie i którego trupa, zakopanego w śniegu, poznaliśmy po ubraniu, jakoteż młoda dziewczyna Gracja Conroy i mała jej siostra — oto są jedyne osoby, o których doszliśmy do czegoś stanowczego.

Filip spojrzał na doktora i zapytał:

— Jakim sposobem sprawdziliście tożsamość młodej dziewczyny?

— Po jej ubraniu.

Filip przypomniał sobie, że Gracja suknię swoją zamieniła na ubior zmarłego brata. Zapytał znowu:

— Tylko po tem?

— Nie. Doktor Devarges wymienia w swych papierach nazwiska tych, którzy razem z nim w chacie mieszkali. O żadnym nie mamy wątpliwości, wyjąwszy brata dziewczyny i pewnego młodego człowieka nazwiskiem Ashley.

— A cóż myślicie o nich?

— Uciekli! Czegoż można oczekiwać od takich ludzi? odrzekł lekarz, wzgardliwie ruszając ramionami.

— Co za ludzie! przerwał Filip, zacisnąwszy zęby z wewnętrznej złości.

— Mój kochany! ciągnął doktor dalej. Wszak znasz podobne osobistości tak dobrze jak ja. Czyż nie włóczyli się oni ciągle dokoła fortów, w których przebywaliśmy? Czyż nie wyżebrywali wszystkiego czego tylko potrzebowali, i czy nie ukradli tego czego innym sposobem otrzymać nie mogli, ażeby potem donosić do Waszyngtonu o niedostateczności pogranicznych posterunków? Czy nie rozpoczynali zawsze swarów z Indjanami, a potem, sami wyśliznąwszy się, czy nie pozostawiali nam rozprawianie się z nimi? Czy nie przypominasz sobie tych mężczyzn zawiędłych, chorowitych, pospolitych i grubjańskich, tych kobiet brudnych, oddanych wszelkim namiętnościom, przedwcześnie zestarzałych i przedwcześnie płodnych?

Filip, wystawiwszy sobie w myślach młodzieńczo-piękne rysy Gracji, usiłował osłabić ten opis; ale nie bardzo mu się to udało. Popatrzył na lekarza i w końcu pomyślał, że tak jest.

— Rozumie się, ciągnął dalej lekarz, że była to jakaś podobna banda. Czegoż innego mogli oni spodziewać się — ludzie silni tylko pod względem fizycznym, a który z utratą tej siły wszystko tracą? Tu występuje samolubstwo, okrucieństwo — Bóg wie co — może nawet morderstwo!...

— Tak, tak... rzekł Filip pospiesznie; ale mówiłeś o tej młodej dziewczynie, Gracji Conroy, co wiecie o niej?

— Nic, oprócz tego, że znaleziono tu trupa w jej ubraniu i z kołdrą jej siostry w ręku... może te bestje wyrwały umierające dziecko z objęć zmarłej dziewczyny. Ale ty, Arturze, co ty tu porabiasz? Czy masz gdzie służbę na posterunku?

— Nie: wziąłem dymisję.

— A!... i jesteś tu...

— Sam.

— No, powracając więcej o tem pomówimy. Dopomożesz mi do ułożenia sprawozdania. Bo musisz wiedzieć, że są to poszukiwania urzędowe, mające swoje źródło w domniemanym darze jasnowidzenia przyjaciela naszego Blunta. Muszę

opisać, że sprawdziliśmy fakt, chociaż nic więcej nie zdołaliśmy uczynić.

Następnie lekarz zrobił pobieżny opis całej wyprawy, począwszy od Blunta (który we śnie wyraźnie widział w Sierrach wygłodzony oddział wędrowców) aż do spotkania się z Filipem. A okazał przy tem taką zdolność do oryginalnego dowcipu i cynicznej satyry — przymioty, których jednostojność życia wojskowego w twierdzy Bobadil nie przytępiła, że obaj młodziency serdecznie się uśmieli. Dwóch czy trzech ludzi z oddziału zajętych grzebaniem ciał i po cichu rozmawiających z sobą, słysząc wykształconych panów tak lekko traktujących katastrofę, zawstydzili się własnego swego narażenia i także poczęli niezbyt wykwintnie, a sądzę, że i niezbyt gramatycznie, o tem samem rozumować — co Filipa spowodowało do zmarszczenia brwi, a doktora do uśmiechu; po czem obaj przyjaciele powrócili do wejścia do kanonu, a stamtąd na dolinę.

Zachowanie się Filipa co do niedawnej przeszłości było zanadto charakterystycznem, ażeby mogło wzbudzić podejrzenie lub zdziwienie w umyśle jego przyjaciela. Właściwie zaś lekarz rad był jego obecności i przypuszczalnym przyjemnościom jakie nastąpią wskutek sympatycznego usposobienia i jednakowych przywyknień Filipa — i nie myślał o niczem więcej.

Dumnym był ze swego przyjaciela, dumnym z wrażenia jakie ten wywarł na prostych i niewykształconych ludzi, z którymi według zasad granicznej demokracji musiał przystawać jak z równymi. A Filip, chociaż jeszcze młody, był już przyzwyczajony do tego, że przyjaciele jego dumni zeń bywali. Czuł on tyle zadowolenia z samego siebie, iż nawet rzadko z faktu tego korzyści wyciągał. Zadowolony myślą, że gdyby lekarz znał jego rzeczywisty stosunek do nieszczęśliwych wędrowców i jego ucieczkę z Gracją, to prawdopodobnie uznałby go za bohatera, nie bardzo martwił się tem, że ukrył przed nim jak było rzeczywiście.

Droga ich szła koło Monument Point i rozrzuconych kamieni. Już udając się do kanonu Filip tu zachodził i zdziwiony niespodziewanym widokiem zburzenia doznał pewnego uczucia wdzięczności względem losu, który go, jak był przekonany, uwalnia od wszelkich dalszych zobowiązań względem zmarłego badacza natury. Nie mógł jednak powstrzymać się od zapytania, czy między papierami i zbiorami doktora nie znajdowało się cośkolwiek godnego przechowania. Lekarz, który przez całe miesiące nie miewał sposobności do zaprodukowania się ze swoim skeptycyzmem odrzekł krótko:

— Nie. A nawet gdyby było możebnem zwrócić te przedmioty żywemu doktorowi Devarges, to posłużyło by to tylko do zadowolenia próżności i uradowania biedaka. Ja nie znajduję nic we wszystkich tych papierach, coby godnem było przeżyć go.

Ton ten był tak podobny do tonu doktora Devarges, że Filip przypominając to sobie, nie mógł nie uśmiechnąć się i nie uczuć pewnej ulgi.

Gdy doszli do znanego miejsca, pokazało się, że i natura tymczasem swoje zrobiła: metalowe puszki głęboko zagrzęzły w śniegu i wiatr rozwiał papiery i same nawet kamienie przedstawiały tylko bezkształtną ruinę.

ROZDZIAŁ IX.

Ślad znika na zawsze.

Gorące majowe słońce rozgrzało mury prezydjum San Ramon, rozpaliło czerwone cegły bruku, oświetliło ciemne podwórza; mułów i poganiaczy ich napędziło w cień długiej galerji czworoboku, gdy komendant, używający po południowego snu w niskim pokoju obok strażnicy, został grzecznie przebudzony przez swego sekretarza. W ciągu trzydziestu lat popołudniowy sen komendanta nie był ani razu przerwany; pierwszą więc myślą jego był — napad Indjan, pierwszem poruszeniem schwycenie wiernej toledańskiej klingi. Ale, jak to się tu i ówdzie wydarzać zwykło, kucharz rano jeszcze wypożyczył ją sobie dla wydobywania z prezydjalnego pieca tortillas. Więc don Juan Salvatierra na tem poprzestał, że surowo zapytał o przyczynę tak niezwykłego naruszenia spokojności.

— Senorita, Amerykanka, uprasza o bezzwłoczne posłuchanie.

Don Juan zdjął czarną jedwabną chustkę, którą miał obwiązaną głowę i poprawił kędzierzawe swe włosy. Nim jednak zdołał przybrać urzędową postawę, już drzwi się otworzyły i weszła młoda dziewczyna.

Pomimo wyszarzanej, prostej i źle przykrojonej sukni, pomimo głęboko zapadłych łagodnych oczu, a nawet łez zraszających długie rzęsy, pomimo smutku, który rozpostarł się na młodocianych policzkach i rozszerzył kąty dziecięcych prawie ust, była ona jednak tak piękną, tak świeżą, tak niewinną i znękaną, że komendant naprzód wyprostował się, a potem ukłonił bardzo głęboko.

Jak na pierwszy rzut oka, przychylne wrażenie zdawało się być obustronnem. Młoda dziewczyna szybko rozpatrzyła się w chudej, ale prawdziwie gentlemańskiej postaci stojącej przed nią, przelotnie zajrzała w poważne, ale zarazem łagodne oczy, błyszczące nad siwemi wąsami i brodą komendanta, zaniechała trwożliwego swego dotychczasowego zachowania się, rzuciła się mimowolnie naprzód z lekkim krzykiem i padła przed komendantem na kolana.

Ten podniósłby ją, ale cofnęła jego ręce, mówiąc:

— Nie, nie! wysłuchaj mnie pan! Jestem tylko biedną, biedną dziewczyną, bez przyjaciół, bez domu. Przed czterema tygodniami opuściłam moją rodzinę, zgłodniałą w górach, ażeby szukać dla niej pomocy. Brat mój poszedł ze mną. Bóg był na nas łaskaw, panie, i po bardzo mozolnej podróży kilkudniowej znaleźliśmy chatę trapera*), żywność i dach. Filip, brat mój, tam poszedł, ażeby im dać pomoc. I nie powrócił. O, panie! on może nie żyje; oni wszyscy może nie żyją — Bogu to jednemu wiadomo! Już trzy tygodnie upłynęło od czasu jak mnie opuścił, trzy tygodnie! Długi to czas, gdy się jest samą, panie, między obcymi, w obcym kraju. Traper był tak dobry, że przysłał mnie do pana. Pan mi dopomoże? O! ja wiem, że mi pan dopomoże. Pan ich odszuka, moich przyjaciół, małą moją siostrzyczkę, mego brata!

Komendant czekał dopóki nie skończy, a potem grzecznie posadził na krześle obok siebie. Następnie zwrócił się do swego sekretarza, który szybko wymówionemi kilku hiszpańskiemi wyrazami odpowiedział na nieme zapytanie oczu jego.

*) Traper myśliwy, trudniący się łowieniem zwierząt w sidła.

Młoda dziewczyna doznała uczucia rozczarowania, spostrzegłszy, że osobiste jej wezwanie pozostało niezrozumiałem. Z lekkim odcieniem niezadowolenia, zwróciła się ku sekretarzowi, który wystąpił jako tłumacz. Ten zapytał jej:

— Pani jesteś Amerykanką?

— Tak, krótko odrzekła, powziąwszy nagłe, stanowcze, instynktowe uprzedzenie do tego człowieka.

— Ile lat?

— Piętnaście.

Komendant prawie mimowolnie położył swą rękę na jej bujnych włosach.

— Imię? pytał dalej sekretarz.

Zawahała się i spojrzawszy na komendanta rzekła:

— Gracja.

Potem znowu zatrzymała się i na wyzywające spojrzenie sekretarza dodała:

— Gracja Ashley.

— Wymień mi pani nazwiska kilku osób z towarzystwa.

Gracja znowu zawahała się, w końcu rzekła:

— Filip Ashley, Gabrjel Conroy, Piotr Dumphy, Joanna Dumphy...

Sekretarz otworzył biórko, wydobył ztamtąd drukowany dokument, rozłożył go i począł rozglądać. Potem wręczył komendantowi powiedziawszy „Bueno.“ Komendant również powiedział „Bueno“ i spojrzał przyjaźnie i ośmielająco na Grację.

— Wyprawa wysłana przez wysokie prezydjum, rzekł sekretarz obojętnie, znalazła ślady towarzystwa amerykańskiego w Sierrach. Tu są takież same nazwiska.

— To te same, to nasze towarzystwo! zawołała Gracja radośnie.

— Tak pani sądzisz? rzekł sekretarz przezornie.

— Tak! odrzekła Gracja wyzywająco.

Sekretarz znowu spojrzał na dokument, a potem rzekł do Gracji, wpatrując się w nią ostro:

— Tu niema nazwiska panny Gracji Ashley.

Krew wystąpiła na twarz Gracji, a oczy jej spuściły się. Błagalnie spojrzała potem na komendanta. Gdyby mogła porozumieć się z nim bez pośrednictwa, padłaby mu do nóg i przyznała się do niewinnego swego podstępu; ale zastraszyła się wyznania, które mogło być zrozumiane tylko za pośrednictwem sekretarza; usiłowała zatem wydobyć się z fałszywego położenia jak mogła.

— Tu zaszło nieporozumienie, rzekła, ale imię mego brata, Filipa, znajduje się tam.

— Imię Filipa Ashley znajduje się, mruknął sekretarz.

— I on żyje! uratowany! zawołała Gracja, wśród radości zapominając o wstydzie i niedawnym smutku.

— Nie znaleziono go, rzekł sekretarz.

— Nie znaleziono? powtórzyła Gracja szeroko otwierając oczy.

— Niema go tu.

— Rozumie się, że nie, odparła z nerwowym hysterycznym śmiechem; on był ze mną; ale powrócił...

— Pod dniem 30 kwietnia niema żadnej wiadomości o odnalezieniu Filipa Ashley.

Gracja jęknęła i załamała ręce. Wśród okropnej trwogi nie obchodziły jej drobiazgi. Odwróciła się i padła do nóg komendantowi.

— O, przebacz mi panie! zawołała, ale przysięgam, że nic złego nie zamierzałam! Filip nie jest moim bratem, lecz przyjacielem, tak do-

brym, tak szczerym. On mię prosił bym przyjęła jego nazwisko. Moje nazwisko nie jest Ashley. Niewiem co tam stoi napisane na tym papierze, ale muszę opowiedzieć o moim bracie Gabryelu o mojej siostrze, o wszystkich! O, panie! czy są oni przy życiu, czy nie żyją? Odpowiedz mi pan!... Pan musisz mi odpowiedzieć, ponieważ ja — ja jestem Gracja Conroy!

Sekretarz już był złożył dokument. Teraz znowu otworzył, jeszcze raz odczytał, potem spojrzał na Grację, a dokument oddał komendantowi, wskazując na jedno w nim miejsce. Dwaj mężczyźni pomieniali się wzrokiem, komendant odkaszlnął, wstał i odwrócił twarz swą od błagalnego wzroku biednej Gracji. Straszna, śmiertelna trwoga wstrząsnęła jej członki, gdy sekretarz na rozkaz komendanta, wstał i podał jej papier do rąk.

Gracja wzięła go drżącemi rękami. Była to odezwa napisana w hiszpańskim języku.

— Nie mogę tego przeczytać, zawołała tupając drobnemi swemi nóżkami. Ale powiedz mi pan co się tam znajduje?

Na skinienie komendanta sekretarz rozłożył papier. Komendant odwróciwszy się począł spoglądać w okno. Światło, padające przez otwór, oblało całą postać Gracji, jej kształtną główkę, lekko naprzód wychyloną, otwarte usta i rozpromienione oczy, utkwione w komendanta. Sekretarz odkaszlnął lekko parę razy i z zarozumiałością znawcy języka, począł czytać po angielsku następujący

Raport.

„Do jego ekscelencji komendanta Prezydium San Felipe.“

„Mam zaszczyt donieść, że wyprawa wysłana z tem by podać pomoc pewnym emigrantom w pustyniach Sierry-Newady — która to wyprawa zarządzoną została wskutek wiadomości udzielonych przez don Józefa Blunt z San Geronimo do kanonu na wschód od Kanady del Diablo, jakoby tam znajdowali się zasypani śniegiem wychodźcy i w wysokim stopniu cierpień straszliwych doznawali, takowych rzeczywiście znalazła. Oryginał na pismie spisany przez tych biednych i w wysokim stopniu najnieszczęśliwszych ludzi wykazuje ich nazwiska i historję organizacji, jako będącej pod dowództwem kapitana Conroy, z jakowego oryginału kopja poniżej przytacza się.

„Trupy pięciu tych nieszczęśliwych zostały ze śniegu odkopane; niepodobna jednak było sprawdzić tożsamości więcej jak dwóch z nich, które z zachowaniem wszystkich świętych i kościelnych przepisów w łonie ziemi złożone zostały.

„Nasi żołnierze odznaczyli się męstwem, spokojem, patrjotycznym duchem, wielką wytrwałością i szlachetnem poświęceniem, jakowe zawsze odznacza meksykańskich wojowników. Nie podobna także nie uznać szlachetnych usiłowań ochotniczych, don Artura Poinsett, byłego porucznika w armji Stanów Zjednoczonych, który chociaż sam podróżny i cudzoziemiec, dowódcy naszemu wedle sił swoich w jego człekolubnych zamiarach dopomagał.

„Nieszczęśliwi ci ludzie, jak się zdaje musieli z głodu poumierać; chociaż jeden z nich widocznie stał się ofiarą...“

Tu niefortunny tłumacz zatrzymał się na chwilę ażeby z nadętością wielkiego znawcy angielskiego języka, pokonywającego wszystkie jego trudności ciągnąć dalej:

„...ofiarą śmierci gwałtownej. W wysokim stopniu ubolewać należy, że między ofiarami znajduje się znakomity doktor Paweł Devarges „naturzysta“ i „zbieracz wypchanych ptaków i zwierząt“; nazwisko jego zaszczytnie znane jest w świecie naukowym.“

Tu, zakłopotany, zatrzymał się; głos jego utracił pretensjonalny wyraz, podniósł oczy z papieru i utkwiwszy je w Grację, czytał dalej, kładąc nacisk na każdem słowie:

„Trupy, których tożsamość możebną była do sprawdzenia, były: „Pawła Devarges i... Gracji Conroy....“

— O, nie, nie! — zawołała Gracja, w rozpaczy załamując ręce — to myłka! Pan chcesz tylko przestraszyć mnie, mnie, biedną, bezbronną bez opieki dziewczynę! Panowie chcecie mnie ukarać, ponieważ wiecie żem błąd popełniła, ponieważ sądzicie żem skłamała! O! zlitujcie się nademną, panowie! O Boże! dopomóż mi!...

I z głośnym krzykiem rozpaczy zerwała się na nogi, szarpiąc swe piękne włosy, załamując małe swe rączki, w końcu padła na ziemię jak bezwładna masa.

Komendant nachylił się nad nią i krzyknął:

— Przyszlijcie tu Manuelę!

Potem odepchnął sekretarza z gwałtownością, niezgadzającą się z jego wysokiem stanowiskiem i sam wziął na ręce omdlałą Grację.

Indyjska służąca przybiegła w tej chwili i dopomogła komendantowi do złożenia omdlałej na łóżku.

— Biedne dziecko! — zawołał komendant gdy Manuela, nachyliwszy się nad Gracją czułą kobiecą ręką suknie jej rozpinać poczęła; biedna mała istota... i bez ojca!...

— Biedna panienka! — rzekła Manuela półgłosem do siebie — i bez męża!...

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Thackeray. „Targowisko próżności,“ powieść. Przekład Brunona Dobrowolskiego. Lwów, Księgarnia Polska, 1876.*)

Obyczajowa powieść angielska coraz więcej znajduje czytelników w Europie i na dobre zaczyna współzawodniczyć z romansem francuskim. Naturalnie do zrównania się z tym ostatnim pod względem popularności przeszkadzają jej pewne ważne zawady, jak na przykład długie panowanie francuskiego smaku w Europie i małe rozpowszechnienie znajomości języka angielskiego w tej części świata. I tak u nas do niedawna mało co znano z angielskiej współczesnej powieści; przekładów nie było, po angielsku nikt prawie nie umiał, ci zaś, co znali język francuski, tak niezmordowanie czytali romanse Balzaca, George Sand'a, Paul de Kocka, Fevala i stu innych francuskich romansopisarzy, że mało im czasu (nie mówiąc już o ochocie) zostawało na odczytanie francuskiego przekładu Dickensa lub Thackeraya. Dziś pod tym względem zwrot u nas widoczny. Wprawdzie znajomość języka angielskiego nie o wiele bardziej jest rozpowszechnioną jak przedtem, ale mamy daleko więcej przekładów polskich z angielskiego i liczba ich z każdym dniem się zwiększa. Prawie każde pismo literackie przynosi jakiś przekład angielskiej powieści, w bibljotekach powieściowych jest ich pełno. Do szeregu tych przekładów przybywa teraz „Targowisko próżności“ (Vanity fair) Thackeraya, jedno z najgłośniejszych i najbardziej charakterystycznych dzieł powieściowej literatury angielskiej.

Zbiera mię ochota roztrząsnąć teraz pytanie, czy zwrot ten jest pożądanym i o ile? ale wolimy naprzód zobaczyć co to jest owo „Targowisko próżności,“ owa typowa powieść angielska, ażebyśmy potem mieli z czem porównać francuski gatunek powieści, dobrze, mam nadzieję, znany czytelnikom. Główny powieściowy wątek da się streścić w kilku słowach: Dobrą, naiwną i cichą Amelję pokochał William Dobbin, człowiek, który wcale nie błyszczy powierzchownością, ale jest szczery, spokojny i skromny, to jest posiada zalety, których nie dostaje całemu otoczeniu tej pary. Ale Amelja jeszcze przed poznaniem Williama pokochała lekkiego i świetnego Jerzego: William godzi się z losem, nie zdradza przed nikim swej tajemnicy, otacza największą przyjaźnią szczęśliwego współzawodnika, usuwa przeszkody stojące na drodze do małżeństwa Jerzego z Amelją, a wszystko to przez bezinteresowną miłość dla niej. Amelja w istocie zostaje żoną Jerzego Osborna, ale dziarski, choć więcej niż lekkomyślny Jerzy (bo w tydzień po ślubie zawiązywał już nowe miłostki) ginie w bitwie pod Waterloo. William, który także był w tej bitwie, ocalał i troskliwą opieką otacza Amelję i jej małego synka, a widząc, że Amelja nie przestaje myśleć ciągle o ukochanym nieboszczyku, i że się uczuć jego, Williama, nawet nie domyśla, odjeżdża do Indji. Płyną lata, upłynęło ich dwanaście, William powraca do Anglji z wyższym stopniem wojskowym, i bardziej jeszcze spotęgowaną miłością dla Amelji. Witają go mile, okazują mu wdzięczność, ale ręki mu swojej Amelja oddać nie chce, bojąc się obrazić pamięć najlepszego z mężów. Przekonywa się jednak niebawem, że ten mąż nie był tak dobrym, jak się jej zdawało, że William jest nieskończenie szlachetniejszym od niego, więc pisze list do Williama i — powieść kończy się wynagrodzeniem długiej, a cierpliwej miłości bohatera.

Widzimy, że William jest bohaterem powieści, a Amelja bohaterką, ktoby jednak myślał, że autor wysuwa te osoby na pierwszy plan i niemi się zajmuje, jeżeli nie ciągle, to przynajmniej głównie, tenby się omylił. Autorowi głównie chodzi o przedstawienie targowiska próżności, a tego towaru najmniej u owej pary i dla tego występuje ona na scenę tylko od czasu do czasu, jakby dla pokazania o ile próżność ludzka odbiegła od poziomu prostoty i szczerości. Za to też się jarmark próżności roi mnóstwem innych osób, zostających w bliższym lub dalszym związku z główną treścią powieści. Osoby te odkrywają przed nami wszystkie wady, słabostki, i niskie żądze w ogóle ludzkiego, a w szczególności angielskiego i to wyższego społeczeństwa. Niektóre z nich, jak np. Rebeka Sharp, wcielenie kobiecej obłudy i przebiegłości, nie schodzą prawie ze sceny i daleko większą grają rolę od postaci, którym z ich stanowiska w powieści główna należy się rola. Wszystkie ujemne strony tych niezliczonych postaci, odrysowane i wycieniowane są z nadzwyczajną starannością, sieć obłudy towarzyskiej rozwinięta przez autora, jest najmisterniejszym haftem. W tym hafcie wszędzie od początku do końca przewija się nić spokojnej, ale gryzącej ironji, a cała powieść jest jedną olbrzymich rozmiarów satyrą na obłudę, pychę i próżność wyższego świata. Czytelnik przypatrując się

*

roztoczonemu przed jego oczyma obrazowi, przejmuje się szlachetnym wstrętem dla tej olbrzymiej przędzy kłamstwa, którą ludzie snują z siebie i mimowolnie z trwogą zagląda do swego sumienia, czy mu ono nie powie, że nie w jednej rzeczy bywał czasem podobnym do owych ludzi, którzy w nim taki wstręt teraz budzą.

Taine w swojej świetnej historji literatury angielskiej zarzuca Thackerayowi ton kaznodziejski. „Zdaje się nam—powiada o powieściach tego autora—że słyszymy instrukcje szkolne lub podręczniki dla seminarjów*).“ Sąd ten wielkiego estetyka wydaje mi się bardzo niesprawiedliwym. Thackeray wprawdzie ocenia przy każdej sposobności moralną wartość ludzi, których wyprowadza na scenę, ale czyni to w sposób, który bynajmniej nie przypomina tonu instrukcji i podręczników szkolnych. Nie rozprawia on o tem, jak brzydką i złą jest obłuda, chciwość i pycha, ale wyprowadza chciwych, pysznych i obłudnych ludzi i każe patrzeć na ich postępowanie, pokazując przytem cały wewnętrzny mechanizm ich działalności. Gdyby tak wszyscy kaznodzieje robili, to z pewnością nie sypianoby podczas ich kazań w kościele i nie czekano z upragnieniem chwili, kiedy przyzwoitość pozwoli wyjść z kościoła.

Przemawia czasem Thackeray i wprost od siebie, bez pośrednictwa figur powieściowych, ale i wtedy ton jego nie jest bynajmniej kaznodziejskim. Na dowód damy mały ustęp; najlepiej on przekona, o ile ton Thackeraya zbliża się do tonu instrukcyj szkolnych.

„Pewne powody zmuszają nas do rzucenia zasłony na ostatni okres życia mistress Rebeki Crawley. Nie jedna z czytelniczek wdzięczną by nam za to być winna. Ustępstwo to należy się słusznie ludziom pewnej temperatury moralnej, którzy nie toczą wprawdzie zaciętych bojów z występkiem, ale mają nieprzełamaną odrazę do imion, jakiemi niektóre występki nazywamy. Na „Targowisku Próżności“ wiele się robi rzeczy, o których wszyscy wiedzą, nigdy tylko o nich nie mówią, na wzór wyznawców Arymana, którzy zezwalają na cześć szatana, ale pod warunkiem, żeby tego imienia nie wymawiać nigdy. Ludzie z ogładą towarzyską, obdarzeni nadto uczuciem delikatności, nie mogą bez zgrozy przenieść obrazu występku w całej jego ohydnej nagości, tak jak ucho Amerykanki lub Angielki, w surowych wychowanej zasadach, będzie srogo zranione wyrazem s p o d n i e; a jednak moje szanowne panie widujecie codzień tę część ubrania, która oczu waszych bynajmniej nie razi. Cóżby to było zaprawdę, gdyby widok podobny za każdym razem wywoływał rumieniec; szczęściem wstydliwość wówczas tylko jest obrażona, kiedy nazwa przedmiotu wymówioną zostanie. Autor niniejszej powieści chce tę zwyczajową drażliwość uwzględnić i będzie się starał przedstawić zepsucie z powabnej tylko strony, żeby niczyjej delikatności nie urazić.“

Nie można jednak nie przyznać, że pod względem estetycznym dadzą się zrobić powieści nie małe zarzuty. Już to samo jest wadą, że powieść jest więcej satyrą, niż powieścią. Podczas gdy ujemne strony ludzkich serc wycieniowane są z mistrzowską subtelnością, dodatnich prawie nie widzimy. Ciągły widok ludzkiego kłamstwa przejmuje nas smutkiem, który w końcu przechodzi w znużenie. Czekamy z upragnieniem ukazania się nielicznych dodatnich postaci, aby odpocząć i rozweselić się przy nich, ale autor pokazuje nam je tylko na małą chwilkę, jakby nam dawał szczyptę pokrzepiającego lekarstwa i woła: dalej w drogę, mamy jeszcze dużo ludzkiej nędzy do oglądania. Nie ma przytem dobrej perspektywy w tym obrazie; wszystko się ciśnie na pierwszy plan, i jak już powiedziałem, bohater i bohaterka muszą nieraz ustępować miejsca drugorzędnym postaciom. Mnogość figur rozrywa naszą uwagę. Jednem słowem, jeżeli „Targowisko próżności“ jest genialną satyrą, to jako powieść nie może rościć prawa do nazwy arcydzieła.

Jest to przedewszystkiem owoc głębokiej refleksji i głębokiego poczucia moralnego. Fantazji w ogóle Thackeray ma mało i dla tego koloryt jego powieści tak szary i płowy. Pod tym względem Dickens jest o wiele szczęśliwszy. Podobny do Thackeraya, jak młodszy brat, z tonu, daru spostrzegawczego i dążności moralnej, ma on na swoje usługi czarodziejską fantazję. W Thackerayu więcej powagi, głębsza siła przekonania i ztąd ironja bardziej gryząca. W Dickensie nierównie więcej barw, poezji, życia i powietrza. Obaj oni doskonale się dopełniają, jako przedstawiciele angielskiej powieści.

Wróćmy teraz do pytania postawionego na początku, o ile zwrot u nas do powieści angielskiej jest pomyślnym, i w tym celu porównajmy „Targowisko próżności,“ jako typową pod względem tonu i dążności powieść angielską z jakąś typową powieścią francuską. Niech to będzie naprzykład „Hrabia de Camors“ Feuilleta, znany dobrze polskiej publiczności.

O co chodzi Feuilletowi w powieści? O nic innego, jak o to, aby przedstawić jakiegoś zajmującego człowieka, jak najbardziej pociągającej powierzchowności i najwykwintniejszych manier, któryby przechodził najdrażliwsze i najciekawsze choćby czasem naciągane sytuacje, i tym sposobem utrzymywał nas w stanie rozdrażnionej ciekawości. Musi on przytem porządnie broić, bo inaczej nie byłby zajmującym. W istocie broi też przez całą powieść, ale ponieważ trzeba być moralnym, więc autor każe go w ostatnim rozdziale aresztować, składa prędko sąd wojenny i — wyrok wydany, bohater rozstrzelany. Zginął, to prawda (wszyscy ginąć musimy!) ale co użył, to użył!

Czy tylko użył doprawdy? Czy był choć raz naprawdę szczęśliwym? Powieściopisarz angielski inaczej by nam przedstawił takiego bohatera. Odmalowałby nam całą zewnętrzną jego świetność, ale nie omieszkałby zarazem wejrzeć w najgłębsze tajniki jego serca, pokazać, że prócz niepokoju, niecierpliwości i przesytu nic tam nie ma, ani śladu owego zadowolenia, które daje wewnętrzna zgoda uczuć, czystość myśli, poczucie spełnionego obowiązku i nareszcie przeświadczenie, że się jest prawdziwie przez kogoś kochanym. Poprowadziłby nas przytem na taki punkt, z któregobyśmy zobaczyli, że ten wspaniały i czarujący bohater jest czasem dość zabawny. Przygody jego nie przestawałyby nas zajmować, ale występki jego nie czarowałyby prostaczków swoim demonicznym urokiem. Pod koniec nie potrzebowałby autor stawić bohatera przed sąd wojenny.

O co chodzi Thackerayowi w powieści, to już wiemy. Patrzcie, jak nędzną i śmieszną jest obłuda i pycha ludzka; bądźcie podobni do Wiliama Dobbin. William Dobbin nie olśniewa wcale swoją powierzchownością; jest nawet trochę niezgrabny, ale nic to nie przeszkadza, aby go pokochać całem sercem, i aby uznać wyższość jego nad całem świetnem otoczeniem. William Dobbin, człowiek skromny, szczery, silny i czuły, oto bohater angielskiej powieści.

„Hrabia de Camors“ nie reprezentuje wprawdzie całej powieści francuskiej, reprezentuje przecież ten jej odłam, który się największą cieszył u nas popularnością. Mieliśmy więc prawo jego wybrać do porównania z typową angielską powieścią, ażeby odpowiedzieć na pytanie, czy zwrot ku tej ostatniej jest pożądanym.

Jest, jest pożądanym i należy się wdzięczność p. Brunonowi Dobrowolskiemu, że nam dał przekład, i to dobry przekład, „Targowiska próżności.“

J. Tretiak.

POGADANKI.

IV.

Znudzimy może czytelnika, wracając znowu do przedmiotu, którym zajmowaliśmy się już po dwakroć, ale ponieważ same Pismo św. powiada, że kto puka, temu będzie otworzone, więc nie przestaniemy domagać się tego, co uważamy za potrzebne, a może głos nasz, poparty przez resztę prasy, czego słusznie spodziewać się możemy, nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Po wydaniu poprzedniego numeru, dowiedzieliśmy się od osoby w rzecz wtajemniczonej, że komitet przyszłorocznej wystawy przemysłowo-rolniczej, uznając potrzebę urządzenia równoczesnie wystawy Sztuk pięknych, porozumiewał się w tym względzie z Wydziałem lwowskiego Towarzystwa Sztuk pięknych. Zapytania komitetu tyczyły się głównie dwóch punktów:

1) Czy lwowskie Towarzystwo nie mogłoby odroczyć swojej wystawy, przenosząc ją w roku przyszłym z wiosny na jesień.

2) Z jaką kwotą miałby mu Komitet przyjść w pomoc, aby na placu wystawy przemysłowo-rolniczej stanął osobny pawilon dla wystawy Sztuk pięknych.

O ile nam wiadomo, Wydział Towarzystwa Sztuk pięknych nie dał żadnej odpowiedzi. A dla czego? Bo budynek drogo by kosztował; bo artyści mogliby przysłać bardzo wiele obrazów, co Towarzystwu przysporzyłoby nie mało zajęcia; bo nakoniec w Wydziale nie ma nikogo ktoby się tem chciał zająć. Oto mniej więcej argumenta, któremi tłumaczy się Wydział lwowskiego Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych. Powtarzamy jednak, że u r z ę d o w e j odpowiedzi nie dał żadnej, pomijając milczeniem zapytanie Komitetu, i tylko p r y w a t n i e broni w ten sposób swego niedołęstwa.

Od dwóch lat występujemy przeciw Wydziałowi lwowskiego Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych i niejednokrotnie wykazaliśmy dowodnie, że większość osób należących do jego składu nie ma wyobrażenia o sztuce, że nie dba o rozwój Towarzystwa, a tem samem o rozwój sztuki, słowem że jest korporacją ciężką, bez zdolności, bez energji i pozbawioną jakiegokolwiek programu. Dzisiejsze jego zachowanie się wobec przyszłorocznej wystawy przemysłowo-rolniczej, która poruszy Galicję, a nawet Polskę całą, tak jasno

---

*) Histoire de la litterature anglaise par H. Taine. Paris 1864. T. IV p. 124.

udowadnia słuszności naszych zarzutów, że już nikt nie może wystąpić choćby z najłagodniejszą obroną zarządu Towarzystwa. Komitet pierwszy zgłasza się i zapytuje, a Wydział nie odpowiada; Komitet uznaje potrzebę wystawy dzieł Sztuki, a Wydział Tow. przyj. Sztuk pięknych mówi, że taka wystawa narobiłaby mu dużo ambarasu; Komitet chce uświetnić wystawę przyszłoroczną, a Wydział odpowiada milczeniem, jakby był zdania przeciwnego.

Być tak niedołężnym, to już nie wstyd, ale grzech!

Prezesem lwowskiego Towarzystwa jest Leszek hr. Borkowski. Ponieważ wiemy, że u nas prawie każde towarzystwo wybiera sobie za prezesa człowieka z majątkiem i pozycją socjalną, od którego potem nie żąda więcej, jak by raz do roku przewodniczył walnemu zgromadzeniu, więc do hr. Borkowskiego nie mamy żadnej pretensji, chociaż nie zaszkodziłoby, gdyby w sprawach doniosłości pierwszorzędnej, jak na przykład ta, która się teraz toczy, sam wystąpił i działał; odpowiedzialność cała spada tu na pana sekretarza, bo u nas w każdem Towarzystwie sekretarz jest istotnym prezesem. Jaki sekretarz, takie Towarzystwo. Gdyby Wydział, o którym mówimy, miał odpowiedniejszego sekretarza, sprawy Towarzystwa całego szłyby innym torem, i dziś niepotrzebowalibyśmy przypominać mu obowiązków, których lekceważenie graniczy prawie ze złą wolą.

Uczyniwszy co do nas należało, apelujemy teraz do całej prasy niezawisłej, aby godnem wystąpieniem zmusiła Wydział lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, do podjęcia na nowo rokowań z Komitetem wystawy.

* * *

Po jednem karceniu następuje zaraz drugie; nie miłe to zadanie, ale cóż my temu winni, że na bardzo surową naganę zasłużył sobie niejaki p. Grzegorzewski, który na pogrzebie śp. Paulina Święcickiego, nie proszony przez nikogo, wystąpił z mową pogrzebową.

Kto nad mogiłą chce przemawiać, powinien najpierw wiedzieć co ma mówić, a powtóre jak ma mówić. Niestety p. Grzegorzewski zapomniał nietylko o jednem i o drugiem, lecz w dodatku rozminął się z wszelką przyzwoitością, której obrzęd tak smutny i uroczysty koniecznie się domaga. Zamiast właściwej mowy pogrzebowej, usłyszeliśmy bez liku frazesów, komunałów, niedorzeczności nawet, którym towarzyszyły mimika i ruchy stosowne może w jakiej kawiarni, ale nigdy na pogrzebie. Czy słyszał kto na przykład, aby mowca w takiej chwili siadał na stojącym obok pomniku, i przemawiał do zgromadzonego orszaku, jak do kolegów, którzy przyszli słuchać popularnego wykładu o znaczeniu piwa w cywilizacyjnym rozwoju ludzkości? P. Grzegorzewski chciał widocznie zainponować tłumom i mówił „ze szykiem"; szkoda tylko, że nie był to szyk europejski lecz chyba — kozacki.

Wielka ta kompromitacja niepowołanego mowcy powinna być przestrogą na przyszłość, i oby odtąd nikt się już nie odważył ubliżyć tak zmarłemu, jak to uczynił p. Grzegorzewski.

Mówiąc o pogrzebach, przychodzi nam na myśl pomnik dla ś. p. Seweryna Goszczyńskiego. Model pomnika, wykonany przez tutejszego rzeźbiarza p. Markowskiego, oglądaliśmy temi dniami w jego pracowni i najzupełniej potwierdzamy zdanie przez innych wypowiedziane, że pomnik to będzie tak okazały, iż godziło by się pomieścić go gdzieindziej a nie na cmentarzu, gdzie go rzadko kto będzie oglądał. Na wysokim piedestalu siedzi Seweryn Goszczyński, pół twarzą na prawo zwrócony, z wyrazem więcej żołnierskim jak poetycznym, co najzupełniej odpowiada indywidualności zmarłego poety — żołnierza, a u stóp jego widzimy cztery figury alegoryczne, przedstawiające cztery utwory Goszczyńskiego. Całość robi bardzo korzystne wrażenie, i jeżeli będzie wykonaną, jak jest pomyślana, Lwów otrzyma w krótce taki pomnik, jakiego jeszcze nie miał. Winszujemy p. Markowskiemu talentu artystycznego i szlachetnej bezinteresowności, z jaką wziął się do dzieła, którego koszta będą pewnie większe aniżeli kwota na ten cel zebrana.

* * *

Co się dzieje z panią Modrzejowską? Widocznie na zawsze nas porzuciła, bo tak brzmią jej listy, które z Nowego świata do Lwowa przychodzą. Czytaliśmy z nich dwa, i oto co się w nich mieści: dwa tygodnie temu pani M. była jeszcze w Nowym Jorku, ale lada dzień spodziewała się wyjechać do Kalifornji. Przedtem w zatoce Meksykańskiej miała niemiły wypadek, albowiem na statku, na którym płynęła, pękła jakaś rura przy maszynie, skutkiem czego okręt o mało nie zatonął. Lament na pokładzie i w kajutach był niesłychany, każdy z pasażerów wciskał się w przyrząd Boytona, który w Nowym świecie jest już bardzo rozpowszechniony, i kto wie na czem by się było skończyło, gdyby w sam czas nie zjawił się był nowy okręt, który koledze pospieszył z pomocą, zabierając na swój pokład jego pasażerów! Takie więc przejścia miała po dziś dzień nasza artystka. Czy później nie nastąpiły jakie nowe z dzikiemi lub korsarzami, o tem jeszcze nie wiemy.

Pani Modrzejowska, a właściwie Chłapowska osiedla się z mężem w Kalifornji, gdzie w tym celu zakupili znaczny obszar ziemi. Wraz z nimi zamieszka na nowem terytorjum kilkanaście osób, które z Wielkopolski wziął p. Chłapowski, i w ten sposób utworzy się w Kalifornji nowa polska kolonja. Podczas gdy osadnicy będą ziemię uprawiali, p. M. chce przygotować się należycie do występów na scenach amerykańskich. Takie są plany naszej artystki, ale ponieważ równocześnie w listach swoich często powtarza, że jej za ojczystym krajem bardzo, bardzo tęskno, więc kto wie czy owe plany nie zostaną marzeniem, i ona do Polski wkrótce nie powróci.

Józef Rogosz.

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tyle o samej świątyni; teraz słów kilka o jej ciekawym obrazie, co aż początku XV stulecia zasięga. Przedstawia on Matkę Bożą z dzieciątkiem w pośród promieni i obłoków jasnych. Z prawej strony tej głównej postaci święty Rafał Archanioł poleca Najświętszej Pannie dwóch Tarnowskich, co u jej stóp klękli, z których jeden zakuł się w zbroję stalową, a drugi ustroił w adamaszkowe szaty. Obok nich na ziemi leży hełm i tarcza z rodowem godłem Leliwa. Na lewej zaś części obrazu widzimy św. Annę wstawiającą się do Matki Bożej za trzema kobiecemi postaciami, o których rodzie mówi herb Korczak umieszczony na tarczy leżącej przy ich nogach. Napis znowu łaciński rzezany na drewnianych ramach tego malowidła powiada nam, że ono jest pomnikiem Rafała z Jarosławia Tarnowskiego, co zmarł 1409 r. Jest on właśnie fundatorem naszego kościoła.

Bez wątpienia obraz ten ma nierównie więcej znaczenia archeologicznego niż artystycznego; pod ostatnim bowiem względem można by mu wiele zarzucić. Nie można go przecież mierzyć łokciem dzisiejszym; jeżeli więc spotykamy w nim wady rysunkowe, niezbyt udatną charakterystykę postaci, nie możemy się temu dziwić bynajmniej, choćby nawet z tej racji, że w krainie sztuki, we Włoszech dopiero w XV stuleciu wskutek dążeń Cimabue'go i Giotta zaledwo malarstwo potrafiło jakiś śmielszy i wyraźniejszy krok postawić, wyswobodzając się z więzów bizantyjskiej szkoły. I wtedy nawet jeszcze sztuka malarstwa nie zerwała zupełnie z tradycją i wzorami bizantyjskiemi, czego najdłużej przechowały się znamiona na malowidłach należących do tak zwanej szkoły staro-niemieckiej, które wykonywano na drzewie, a których tło bywało zawsze złocone, przybrane kratkowaniem ukośnem i różnemi wyciskanemi ozdobami w duchu ostrołukowym. Nasz przeto obraz, należący do tej szkoły panującej podówczas w Europie, nie mógł być innym. Wady jego są ogólnemi wadami, a przymioty takież same, jakiebyśmy spotkali na ówczesnych obrazach Niemiec lub Francji.

Byłoby rzeczą wielce pożądaną, gdyby się ktoś zajął studjami nad tego rodzaju zabytkami malarstwa, rozrzuconemi po różnych stronach ziem Polski, tym bowiem sposobem zaznaczylibyśmy sobie właściwe stanowisko w dziedzinie powszechnego malarstwa, o którem dotąd prawie nie mamy wyobrażenia. Bądź co bądź przecież malarstwo polskie XV i XVI stulecia daleko jest ważniejszem od utworów pędzla takiego np. XVII wieku, mimo to w ostatniej kwestji więcej byśmy znaleźli rzeczy po naszych książkach drukowanych niż w pierwszej. Każde miasto starożytniejsze, że tu przytoczymy: Grzybów, Kraków, Warszawę, Sieradz itd. może dostarczyć wiele nader wątku do rozjaśnienia tej sprawy.

Również ciekawy temat przedstawiają nasze chrzcielnice bronzowe, zaczynające się niemal od pierwszych lat polskiego chrześcijaństwa. Toruń, Kraków, Rogóźno, Wrocław i wiele innych miast posiada tego rodzaju zabytki artystyczne. Z Przeworska bronzowa chrzcielnica z r. 1400 zajęłaby w takiej monografji wcale nieposlednie miejsce. Jest ona formy kielichowej, a przybrały ją herby Leliwa, Topór i Nałęcz, których właściciele fundowali ów sprzęt kościelny, wykonany wedle zasad ostrołuku.

Z Przeworska udajemy się wprost do Tarnowa, przebiegając po drodze górę zamkową św. Marcina, leżącą na południowo-wschodniej stronie tego miasta. Nie pytać nam jakie znaczenie miała góra zamkowa w czasach przedhistorycznych tej okolicy, potrzebaby na wyrzeczenie coś pewniejszego poświęcić nieco czasu badaniom jej wnętrza. Czy więc szczątki starego grodziska sięgają epoki pogańskiej, nie przyczymy tego bynajmniej, choć i z twierdzeniem nie spieszymy się wcale. To tylko pewna, że stary tu kościołek, pięknemi podaniami opromieniony, pochodzi

z końca XVII stulecia, a wnętrze jego dochowało po dziś dzień ułamek papieskiego ołtarza staro-niemieckiej szkoły, który jakkolwiek stoi nisko pod względem artystycznym, zawsze należy do ciekawszych zabytków przeszłości. Niepodobna nam tu pójść za J. Łepkowskim zaliczającym wieżę kościółka św. Marcina do indywidualnych zjawisk tej budowy, ponieważ zwężająca się ku górze jej forma czworościenna, posiada wiele bardzo takich samych pomników pomiędzy górskiemi kościółkami, że tu przytoczymy drewniany kościółek w Rabce, niedaleko Jordanowa leżącej. Góra św. Marcina zwraca jeszcze na siebie uwagę szczątkami zamku rodziny Tarnowskich, która już w wieku XIV słynie na okolice. Że zwaliska te jednak rysują się tylko pagórkami gruzów zarosłych trawą i krzewami, nie zatrzymujemy się przy nich dłużej, tem bardziej, że Tarnów tuż przed nami stanął z przepysznemi pomnikami sztuki z XV i XVI stulecia. (C. d. n.)

Listy ze świata.

II.

Paryż d. 1. Września 1876 r.

Najdonioślejszem artystycznem zjawiskiem ubiegłego miesiąca było przedstawienie w Beyreuth przesławnego Wagnerowskiego *Niebelungen-Ringu*, oper. Zwolennicy „Muzyki Przyszłości“ z najodleglejszych krańców Europy, na te wielkie ściągnęli się święto, by za 500 fr. (cena jednego miejsca) w przeciągu kilku z rzędu wieczorów, napoić uszy potokami harmonji, jeśli nie melodji, której nikt nie odkryje w produkcjach niemieckiego kompozytora.

Jak to zazwyczaj bywa w kwestjach silnie potrząsających opinją ogółu, publiczność na dwa skrajne rozpadła się obozy. Jeden z nich podnosi Wagnera pod obłoki, stawia wyżej nad krytykę i od niego datuje nową erę muzyki. Drugi wszelkiego zaprzecza mu talentu, najbardziej zachwalone ustępy jego oper nazywa kocią muzyką, i tym którzy się niemi zachwycają, przypomina utwory wprawdzie mniej szumne, lecz za to wdzięczniejsze, takich mistrzów jak Rossini, Donizetti, Bellini, itd.

Istotna prawda jak to bywa zazwyczaj, leży widzi nam się po środku, zarówno zdala od przesadzonych entuzjazmów, jak od systematycznych negacyj.

Wątpimy, by człowiek pozbawiony wszelkiego talentu, mógł w kole znawców tak silną wywołać burzę. Wątpimy również by wszystko, co on stworzył, niezaprzeczalnem było arcydziełem i by „Tannhäuser“ — „Lohengrin“ — nakoniec „Niebelungen-Ring“ tak bardzo zamazywały wspomnienia „Don-Żuana“ lub „Wilhelma Tella“.

W braku innych racyj, wspomniane wyżej ubóstwo melodji przeszkodzi im w tym względzie.

Harmonja sama jedna, chociażby do najwyższej posunięta perfekcji, zdumiewając słuchacza, zadowolić go zupełnie nie zdoła. Harmonja w muzyce jest tem samem, czem piękna forma, piękny układ wiersza w poezji, czem poprawność linji, umiejętny dobór barw w malarstwie. Malarz lub poeta w wysokim nawet stopniu posiadający te zalety techniczne, lecz upośledzony stosunkowo pod względem myśli lub uczucia, potrafiże stworzyć absolutnie wzniosły poemat, obraz absolutnego godzien zachwytu? Nie! Żadną miarą! Otóż melodja w muzyce jest owym przebłyskiem myśli, ową nutką uczucia, bez których najświetniej nawet orkiestrowana symfonja będzie tylko zgiełkiem skandowanym.

Ale, powie nam który z zapalonych Wagnera zwolenników, melodja w utworach mistrza tego istnieje, i nawet bardzo obfitą sączy się strugą, a tylko ucho profanów przywykłe do lekkich francuskich „flon-flonów“ tak łatwo uchwycić jej nie może. Potrzeba zgłębić zasady kontrapunktu, potrzeba wsłuchać się długo i uważnie w tę siekaninę niesfornych na pozór akordów, a melodja wywiąże się z nich tem wspanialsza, im niedostępniejsza dla tłumu, im szczuplejszemu udzielająca się gronu wtajemniczonych w rzecz adeptów; z twierdzeniem podobnem spotykalismy się nieraz i nie dwa razy. Korzystamy więc ze sposobności, by mu tu stosowną dać odprawę.

Stosunek dawniejszy między wybujałemi ku niebu szczytami człowieczego geniuszu a ogólnym poziomem ludzkiej inteligencji, olbrzymim zmianom uległ w wiekach ostatnich. Ogólny poziom oświaty o całe staje podniósł się w górę. Szczyty geniuszu nie zniżyły się wprawdzie, lecz w skutek podniesienia się płaszczyzny, mniej się zdają niebotycznemi i nie kryją się więcej w chmurach oddalenia. Nauka będąca dawniej udziałem kilkunastu lub kilkudziesięciu jednostek, w tajemnicze okalała się szaty, i ciemnemu tłumowi zdawała się czemś nadludzkiem, niby manifestacją bóstwa na ziemi. Sztuka, aczkolwiek w sposób mniej może absolutny, przez te same przechodziła koleje. Wiadomo, że Grecy konstrukcję najpiękniejszych świątyń swoich przypisywali Apolinowi. Wiadomo, że ojciec medycyny Hippokrates przezwany „Boskim Starcem“ odbierał cześć prawie religijną. Nie dalej jak w średnich wiekach, chemicy i astronomowie, posądzani o stosunki z szatanem, w zupełnem od świata żyli odosobnieniu, poddając prace swoje nader ograniczonej kontroli nielicznych kolegów. Wtedy można było mówić o wtajemniczeniu adeptów, wtedy można było pomiatać tłumem, jak dziką trzodą, nie mającą żadnego pojęcia o rzeczach umysłowych i żadnego do sądzenia o nich prawa. Wtedy owoczesny „Wagner“ mógł na uwagi owoczesnego *nie wtajemniczonego* w rzecz profana, wystąpić z odpowiedzią podobną mniej więcej do powyższej.

Ale dziś okoliczności zmieniły się zupełnie. Apollo schroniony na szczycie Olympu, zostawił architekturę zwykłym śmiertelnikom i Hippokrates żyjąc dzisiaj, nie pół bożkiem, lecz tylko znakomitym byłby lekarzem. Nauka i sztuka spopularyzowane stały się własnością wszystkich ludzi inteligentnych i uposażonych pewnem wykształceniem; wprawdzie techniczne strony, tego lub owego kunsztu, tej lub owej gałęzi wiedzy, mogły jeszcze zostać zagadką dla osób nie poświęcających się im specjalnie, lecz ogólna charakterystyka rzeczy i ogólne w niej poczucia piękna czy prawdy, podpadają pod sąd, analizę, i kontrolę całej wykształconej społeczności i żaden mędrzec, żaden artysta nie stoi dziś tak wysoko, by się ośmielił przeciwko nim oponować. Cobyście dziś powiedzieli o poemacie, o tragedji, których zrozumienie i ocenienie, uwarunkowane specjalną znajomością rzeczy, dozstępne li dla wyjątków, dla ogółu czytających byłyby absolutnem niepodobieństwem? Cobyście dziś rzekli o obrazie, na którym oko tylko malarza wtajemniczonego w procedurę kunsztu mogło by dostrzedz pewne piękności? Wzruszyli byście nań ramionami z litością i jak list nie do was pisany a przypadkiem w wasze zabłąkany ręce, odesłalibyście nazad na pocztę, pod adresem tych kilku jednostek wyczytujących hieroglify. Pocóż rzeczy takie drukować, pocóż je na swiat wysyłać? Pocóż je przedstawiać na scenie dla wszystkich otwartej i przed publicznością, która nie zna arkanów sztuki? Przemawiając do kilku jednostek, pocóż na posłuch owej perory zapraszać tłumy z rzeczą nieobeznane? Nie panowie moi. Nie, co piękne, co istotnie piękne, to piękne dla wszystkich inteligentnych i wykształconych ludzi, bez wyjątku; i tylko rzeczy kulejące pod tym lub owym względem, kryją się za tym wygodnym parawanikiem specjalnych wiadomości.

Mówicie nam z pogardą o lekkich a łatwych do schwycenia uchem ludowych „flon-flonach“ Ani myślemy wdawać się w bezwzględną ich obronę. Przyrównamy je do ładnej częstokroć nawet poetycznej myśli, prostaczym, naiwnym i bez pretensji, wyrażonej językiem, wtedy gdy wasze zawiłe i według zasad kontrapunktu napisane symfonje, nasuwają nam wspomnienie czczych i pustych w gruncie frazesów a tylko okraszanych ponętami stylu i retoryki.

Weźmijmy naprzykład owe powszechnie znane „Ständchen“ Schuberta. Nie wiem czy im także przyznacie nazwę „flon-flonów“; nie wiem czy Schubert w ich układzie odznaczył się wielką perfekcją harmonji; z drugiej jednak strony wiem, że znajomość kontrapunktu wcale tu niepotrzebna, bo i bez niej każdy zrozumie piękności tej cudnej melodji, i bez niej każdy przy odgłosie tych natchnionych dźwięków, płakać i marzyć potrafi. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Topin M. Romanciers contemporains. Paris 1876.

— Znany ten autor pracował dotąd na polu historji. W przedmowie zapowiada p. Topin, iż tem dziełem rozpoczyna szereg krytycznych rozpraw nad spółczesną literaturą. Zaczyna od powieści. „Powieść — mówi on — nie tylko że się utrzymuje na stanowisku, na jakiem postawiło ją przeszłe pokolenie, ale co więcej, powieściopisarze dzisiejsi umieli nadać jej formę nową i tchnąć w nią żywotną siłę, jakiej nie miała dotąd.“ Autor zamierza sądzić „nielitościwie tych, co z upodobaniem malują bezeceństwa; a pobłażliwie, co porzucają prawdę dla ideału; a z całem uwielbieniem autorów, którzy nam pokazują prawdę, piękną w całej prostocie swojej.“ Studjum rozpoczyna od Georges Sand. Podziwia jej styl jasny, potoczysty, pełen wdzięku, podnosi tę niesłychaną siłę twórczą, której nie wyczerpała czterdziestoletnia praca. Mimo to pokazuje całą chorobliwą stronę pierwszych utworów autorki (Lelia itd.). Koroną wszystkich prac mieni krytyk ludowe jej powieści: Fadettę, Champi, Kałużę djabła. Do tych pereł dolicza jedną z ostatnich powieści: Flamarande. Wiktora Hugo nie zalicza do powieściopisarzy, widzi w nim i w dziełach prozą pisanych przedewszystkiem poetę. W Balzaku podziwia nadzwyczajną twórczość i wielkie bogactwo wyobraźni, ale zarazem surowo potępia genialnego pisarza za sponiewieranie najszlachetniejszych uczuć ludzkich. Powieści J. Sandeau mają cel wielki, we wszystkich przyświeca prawda, otoczona idealnem pięknem. Dosyć tu przypomnieć Jana Thomery, cudną powieść, co tak dzielnie podniosła serca Francuzów. Do rzędu tego samego zalicza dalej Marmiera. „Chwała Marmierowi za to“, powiada krytyk, „że należy do najczystszych pisarzy naszych czasów. O ile inni wyszukują skandale, o tyle on unika go ze wstrętem. Czuje on głęboko, jak ciężka odpowiedzialność czeka pisarza za nakreślenie choćby jednej gorszącej kartki“. Obok Marmiera stawia krytyk Pawła Fewala. „Poważny i nieskażony w życiu popularny ten pisarz od lat czterdziestu nie napisał ani jednej książki, któraby wprowadzała zamęt w pojęcia ludu i serca zaprawiała goryczą.“ Z pomiędzy młodszego pokolenia pisarzy Topin z najwyższem uznaniem wyróżnia Alfonsa Daudet'a; powieść tegoż: Fromont i Rissler, będącą wymownym obrazem mieszczaństwa paryskiego, podnosi wysoko.

Z pomiędzy powieściopisarek dzisiejszych oprócz Georges-Sand krytyk wymienia trzy najbardziej utalentowane: panie Caro, Craven i Bentzon. Najznakomitsze ich utwory: Magdalena p. Caro, Fleurande p. Craven, Julietta p. Bentzon. Z pomiędzy nich wyróżnia Panią Bentzon. — Co do powieści realistycznej pan Topin nie zgadza się w ogólności na zasadę, aby sztuka miała być sama dla siebie celem, nie dziwi się też wcale, że powieść realistyczna, zamknięta w ograniczonem kole świata fizycznego, musiała prędko wyczerpać cały swój zasób. Naczelnik tej szkoły Gustaw Flaubert, człowiek wszechstronnie uczony, obdarzony wysoką zdolnością, świetnie władający językiem, zdobył się na jedną tylko powieść (Pani Bowary), znakomitą pod względem formy artystycznej. — Verne stworzył nowy rodzaj; wprowadził do powieści swoich świat fizyczny. „Podbił przyrodę“ mówi p. Topin, przyrodę w najświetniejszych, a zarazem najgroźniejszych jej objawach i odgadł jej niedocieczone zagadki. Juljusz Verne jest najpopularniejszym z powieściopisarzy współczesnych, i powiedzmy z radością, najsłuszniej należy mu ten zaszczyt. Wszystko, co wyszło z pod jego pióra, zdrowe jest, krzepkie i podniosłe. Zuchwały wynalazca, logik ścisły, budownik niezmordowany, pisarz pełen ognia i siły dramatycznej, cudownie odmalował piękności materjalnego świata i zbudował przyrodzie godny jej pomnik. Na Verne'm autor ukończył tom pierwszy: wkrótce ma wyjść tom drugi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Dyrekcja teatru zaangażowała nowego tenora p. Reverte. P. Zakrzewski, z którym dyrekcja miała jakieś zajście, pozostaje nadal przy naszej scenie.

— W niedzielę po raz pierwszy przedstawioną będzie komedyjka p. Gustawa Fiszera, znanego artysty dramatycznego, pt. „Cri-Cri.“

— We środę debiutował na naszej scenie p. Puchniewski z Warszawy w roli Placyda Ciociewicza w „Piosnce wujaszka.“ Debiut powiódł się mu szczęśliwie: p. Puchniewski posiada niezaprzeczony talent do ról płasko-komicznych.

— Z 1 października zacznie wychodzić we Lwowie „Gazeta świąteczna“ pod redakcją p. Z. Frühlinga. Celem jej będzie podawanie najświeższych wiadomości w niedzielę i święta, kiedy inne dzienniki nie wychodzą.

— Mówią, że wkrótce ma powstać we Lwowie pismo niemieckie polityczne, które będzie wychodzić dwa razy na tydzień. Ma być ono redagowane w duchu narodowym – co już sam tytuł wskazuje, ma bowiem nosić nazwę „Der weisse Aar“ albo „Der Adler.“ Życzymy szczerze temu przedsięwzięciu powodzenia.

— W tych dniach wyszła z druku książeczka obejmująca pisma Zofji Kuplińskiej w pomnożonem wydaniu.

— Świeżo pojawiła się praca p. Zygmunta Glogera pt. „Monografja dawnej ziemi Łomżyńskiej“ nader starannie opracowana.

— Wkrótce na warszawskiej scenie ukaże się dramat Hermana Schmidta pt. „Róża i oset“ w przekładzie p. M. Gawalewicza. Dramat przedstawia ustęp z życia Kromwella.

— Opuściła już prasy drukarskie, nakładem firmy Józefa Ungra, pierwsza z szeregu „Bibljoteki Teatralnej“ sztuka „Emigracja Chłopska,“ obraz dramatyczny ludowy w pięciu aktach przez Władysława Ludwika Anczyca, uwieńczona nagrodą ludową na konkursie krakowskim z b. roku.

— Pomiędzy manuskryptami pozostałemi po ś. p. Juljanie Bartoszewiczu znajduje się bardzo interesująca praca pt. „Domowe życie panów polskich.“ Dzieło to obejmujące tom, już przygotowane do druku.

— Wkrótce nakładem księgarni B. Cassiusa w Warszawie wyjść mają „Szkice historyczne“ Każmierza Jarochowskiego. Dwutomowa ta publikacja mieścić będzie w sobie drobniejsze dziejowe prace tego pisarza, pośród których znajdować się będą i studja dotąd nie ogłoszone u nas drukiem.

— „Encyklopedji Ogólnej Wiedzy Ludzkiej“ wydawanej nakładem starej firmy Józefa Ungra, wyszedł przed niedawnym czasem tom dziesiąty — dobiegający do litery K. Encyklopedja ta jak wiadomo, uwzględnia najbardziej rzeczy krajowe i jest nader starannie i umiejętnie redagowaną. Polecamy ją gorąco cztelnikom naszym.

— Z szeregu historycznych powieści Kraszewskiego, trzecia z kolei, drukująca się już obecnie, nosi tytuł „Bracia Zmartwychwstańcy.“ Tłem dziejowem tego nowego utworu naszego znakomitego powieściopisarza jest epoka panowania Bolesława Chrodrego — wiek IX. Niewiadomo doprawdy co podziwiać w Kraszewskim, czy jego nadzwyczajną płodność i twórczość pisarską czy nadzwyczajną siłę talentu, z którą przenosi się w odległe historyczne czasy i czerpie z nich swoje obrazy pełne prawdy i poetycznego przeczucia tego co kiedyś było.

— Donoszą z Poznańskiego, iż p. W. Arnese z Uścikowa wręczył królowi Wiktorowi Emanuelowi album fotograficzne widoków tatrzańskich, opracowane przez p. Schuberta z Krakowa. Król włoski obdarzył w zamian p. Schuberta szpilką wysadzoną brylantami i opatrzoną cyfrą W. E. wyrażając zarazem swe zadowolenie i pochwałę prac fotograficznych.

— Malarz historyczny p. Chlebowski ze Stambułu przenosi się do Paryża. Niedawno wykończył on właśnie nowy obraz historyczny znacznych rozmiarów, przedstawiający Mahmuda II zdobywcę Konstantynopola.

— Komisja złożona w Paryżu dla odbudowania Tuiljerjów, postanowiła, że przed wystawą w r. 1878 gruzy zniszczonego gmachu zostaną uprzątnięte, a na ich miejscu wzniesie się pałac, którego dół urządzony będzie na przechadzki, a piątro na muzea wspaniałe.

— Akademja krakowska przygotowuje materjały do upamiętnienia poważnemi wydawnictwami trzech nie dalekich rocznic, które uroczyście obchodzić zamierza. Jedną z nich jest trzechsetna rocznica zgonu męża wielkiego w kościele, kardynała Stanisława Hozjusza, przypadająca w r. 1879; na jej pamiątkę ma być wydana rozległa korespondencja historyczna kardynała. Opracowaniem jej zajmuje się komitet pod prezydencją ks. Goliana; pracę przygotowawczą prowadzi głównie prof. Zakrzewski. Drugim dniem pamiątkowym będzie czterechsetna rocznica zgonu znakomitego dziejopisa polskiego, kanonika krakowskiego Jana Długosza, przypadająca na r. 1881; upamiętni ją Akademja odnowieniem grobowca Długoszowego na Skałce, oraz wydaniem jego żywota. Nakoniec trzecim dniem pamiątkowym będzie przypadająca na r. 1883 dwóchsetna rocznica zwycięstwa pod Wiedniem, odniesionego nad Turkami przez Jana Sobieskiego; upamięci ją Akademja wydaniem aktów odnoszących się do panowania tego króla. Nad zebraniem ich w Wilanowie pracuje członek komisji p. Kluczycki, a w paryskiem archiwum spraw zagranicznych p. Waliszewski.

— O pierwszym w języku polskim obrazku lokalnym p. Szobera p. t. „Podróż po Warszawie“ pisze *Wiek*: Przedstawiona w sobotę po raz pierwszy na scenie teatrzyku Tivoli „Podróż po Warszawie“ napisana przez p. Feliksa Szobera z muzyką p. Sonnefelda, jest krotochwilą śpiewną, rodzajem lokalnej operetki, w której autor zgromadził rozmaite, niższej kategorji typy warszawskie i wystawił je na widok publiczny w obrazach charakteryzujących najsilniej życie i ruch naszego miasteczka. Pan Fafuła, z połowicą swoją herod-babą, dwiema córeczkami, guwernantką Chiffon, służącą dziewczyną wiejską i parobkiem jej kochankiem, puszcza się w drogę do Warszawy. Za nim podążają dwaj *bracia marmurki*, narzeczeni panienek. Na dworcu kolei żelaznej giną córeczki, wykradzione przez kilku *facetów* polujących na posag, i napodróżowawszy się po Saskiej Kępie, Szwajcarskiej Dolinie, Starem Mieście, odnajdują się na balu w Tivoli — gdzie ojciec i mama dają odprawę *facetom* a błogosławią związek małżeński dziewcząt z wiejskiemi marmurkami. Inwencja niebogata, nieprawdopodobieństwo widoczne i umyślne, postacie karykaturalne i bardzo mało z naturalnemi mające powinowactwo — ale to wszystko nie przeszkadza, że sztuka jest zabawną, wesołą, komiczną i że jako ogródkowa miejscowa, warszawska krotochwila, posiada wszelkie warunki powodzenia, oraz że jest pierwszą u nas w tym rodzaju.“

— *Czas* zamieszcza następujące pismo: „Pisma warszawskie zajmują się od lat kilku Juljuszem Verne, pragnąc go mimo jego woli i wiedzy koniecznie spolszczyć. Wywodzenie go od żyda Olszewca, przeszło i do pism galicyjskich. Według nich miał on w roku 1848 udać się do Gdańska, mając lat 18. W r. 1849—1850 uczył się medycyny w Hali a potem dopiero przeniósł się do Paryża. Aby rzecz bardziej zagmatwać lub też, aby nie stworzyć jednej osoby z dwóch, wyjaśniam, iż Juljusz Verne urodził się r. 1828 w Nantes. Już w r. 1850 drukował komedję w 1 akcie wierszem p. t. „Pailles rompues.“ W roku 1861 drukował komedję 3-aktową: „Onze jours de siège,“ pisaną wspólnie z Karolem Wallut. Zaś wspólnie z Mich. Carré, drukował opery komiczne: „Le Collin Maillard 1860,“ „Le compagnon de la Marjolaine 1855.“ Mniemam, iż wobec tych dat a mianowicie, iż już r. 1859 drukował wierszem komedje w Paryżu — gdy Olszewiec pod ten czas jeszcze uczył się w Hali — obałamucanie się co do polskiego pochodzenia Juljusza Verne, byłoby nadal niewłaściwem. *Estreicher.*“

— Z Baireut donoszą, że i trzecie przedstawienie Wagnerowskiej trylogji, odbyło się z zupełnem powodzeniem. I tym razem obecnym był król bawarski. Śpiewacy Betz i Niemann otrzymali od niego krzyż Maksymiljana; pani Fridrich-Materna dostała od księcia Meiningen medal złoty, a od W. księcia Weimarskiego Sępa białego, dekorację książęcego domu. Pannom Lehmann i Lammert przysłał król Ludwik kosztowne pierścienie brylantowe. Mieszczaństwo Baireuta urządziło dnia odjazdu króla, 30go sierpnia, wspaniałą owację.

Wynalazki.

— Sztuka budowania okrętów zaznacza nowy postęp, który na tem polega, że tułów okrętowy zamiast jak dotychczas z drzewa, sporządzany bywa z blachy stalowej. Nowe tego systemu okręty są znacznie lżejsze od dawniejszych, z większą przeto chyżością poruszać się mogą na morzu. Glasgowska firma Elder & Comp. pierwsza otrzymała zamówienia na 6 tego rodzaju korwet po 2390 beczek objemności i 14 armat. Przy tej sposobności donoszą dzienniki angielskie, że komisja ustanowiona dla zbadania przyczyn częstych wypadków samozapalenia się węgli na składach okrętowych, ukończyła prace swoje i jako przyczyny owe w pierwszym rzędzie wymienia zbytnie skruszanie węgla podczas zsypywania go do komórek okrętowych, dalej wilgoć, jaką niektóre zwłaszcza rodzaje węgla zawierają, a wreszcie ostre przeciągi powietrza przenikające zbitą masę węgla.

Zjawiska.

— Dnia 12. b. m. w nocy dało się czuć trzęsienie ziemi w Turcji europejskiej a najsilniejsze w Salonice. Rozciągało się ono, lubo już słabiej do Krainy i do doliny Trento.

Konkurs.

— Na mocy reskryptu Wys. c. k. Ministerstwa wyznań i oświecenia z dnia 19. sierpnia r. b. p. l. 13.446, rozpisuje się niniejszem konkurs do końca października 1876 r., celem obsadzenia nowo utworzonej w c. k. Akademji technicznej nadzwyczajnej katedry budownictwa lądowego, rachunkowości budowniczej i ustawodawstwa budowniczego. Do tej katedry przywiązana jest płaca rocznych 1200 zł. a. w. i dodatek aktywalny według rangi VII. klasy. Podania o powyższą katedrę wystosowane do Wys. c. k. Ministerstwa wyznań i oświecenia i zaopatrzone w potrzebne dokumenta, jakoteż w dowody gruntownej znajomości języka polskiego, należy wnieść do Rektoratu c. k. Akademji technicznej we Lwowie przed upływem terminu konkursowego. Z Rektoratu c. k. Akademji technicznej. We Lwowie dnia 6. września 1876.

— Komitet budowy pomnika dla śp. Artura Grottgera zaprasza rodaków artystów-rzeźbiarzy, aby raczyli nadesłać projekta na ten pomnik, mający się umieścić w jednym z kościołów lwowskich. Warunki są następujące: 1. Komitet życzy sobie, aby w kompozycję wchodził marmurowy biust albo medaljon śp. Grottgera; resztę układu pomnika pozostawia do woli artysty. 2. Projekta mają być nadesłane do dnia 1. listopada 1876, a to na ręce p. Karola Młodnickiego (Lwów, ulica Sykstuska l. 33.) 3. Koszta pomnika nie powinny przechodzić sumy 1000 zł. 4. Projekta nadesłane nie otrzymują żadnej nagrody. 5. Koszta przesyłki projektów, jako też odesłania tych, które nie będą przyjęte do wykonania, poniesie kasa pomnikowa. Zarazem uprasza komitet dzienniki o umieszczenie tej odezwy. W imieniu komitetu

Karol Młodnicki.

Roboty publiczne.

— Roboty około nowego tunelu pod Tamizą, który połączyć ma podziemnie hrabstwo Esse z Kent'em, zostały rozpoczęte 22go sierpnia br. w Woolwich. Pierwsze wiercenia uskuteczniono na północnem wybrzeżu rzeki. Ponieważ, według twierdzenia geologów, grunt Tamizy stanowią wapienne pokłady, przeto spodziewają się, że roboty pójdą naprzód szybko i skończone zostaną w przeciągu 6—9 miesięcy.

Statystyka.

— Liczba czasopism londyńskich i dzienników wynosi obecnie według ogłoszonego właśnie sprawozdania statystycznego blisko 800. Podczas gdy w r. 1871 liczba depesz telegraficznych podanych wynosiła w Anglji 9,654.594, w Szkocji 1,305.596, a w Irlandji 800.328, czyli w całem trójjedynem królestwie 11,760.518, w roku zeszłym liczba ta wzrosła przeszło o połowę, wynosiła bowiem 17,029.816.

Ogródki freblowskie.

— Pani Biruta ze Strażnickich Łukaszewiczowa rozszerzyła swój zakład wychowawczy, który się rozwija i ogólne zyskuje uznanie, otworzeniem kilku filij, mianowicie koło św. Anny, na początku ulicy Łyczakowskiej i na przedmieściu Halickiem. Założenie tych filij umożliwi kształcenie się w szkółkach Freblowskich dzieciom z dalszych dzielnic i przedmieść miasta.

Szkolnictwo.

— Na wszechnicy wiedeńskiej w przyszłym roku podług ogłoszonego właśnie programu wykładać będzie 79 profesorów zwyczajnych, 54 nadzwyczajnych, 78 docentów, 9 asystentów i ośmiu nauczycieli. Liczba kolegiów i kursów wynosić będzie 416 z 1602 godzin wykładowych tygodniowo, z których większa część przypada na wydziały: medyczny i filozoficzny.

ROZMAITOŚCI.

— Ciekawe zjawisko mienienia się barw u kameleonów obserwowane było przez licznych badaczy. W ostatnich czasach Paweł Pert powtórzył obserwacje dawnych badaczy, zebrał nowe fakta i tym sposobem dał możność wyjaśnienia tego ciekawego zjawiska, które nawet weszło w przysłowie. W skórze kameleonów znajdują się ruchliwe ciałka rozmaitej barwy, ukryte po części w głębi, po części zaś porozmieszczane na samej powierzchni, gdzie zachodzą jedne na drugie licznemi swemi rozgałęzieniami. Oprócz tego w skórze, w bliskości jej powierzchni, znajduje się żółty pigment i niebieskawa warstwa, która przy przechodzącem świetle wydaje się żółtą, a na ciemnem tle niebieską. Jeżeli u kameleona przetniemy jakikolwiek nerw mięszany (tj. nerw złożony z obudwu rodzajów włókien: czuciowych i ruchowych), to cała ta część skóry, gdzie ten nerw przechodzi, przybiera barwę ciemną, czarniawą. Przy podrażnieniu nerwu odpowiednia część skóry w początku przybiera barwę zieloną, następnie zaś żółtą. Również zmienia się barwa kawałka skóry oddzielonej od ciała i podrażnionej elektrycznością. Podobnyż skutek wywiera przecięcie i podrażnienie mlecza pacierzowego na całą część ciała, znajdującą się poniżej miejsca przecięcia. Jeśli przetniemy mlecz pacierzowy około szyi, to głowa i przednia część ciała także stają się czarnemi. Silnemu podrażnieniu nerwu mięszanego u zwierzęcia, z przeciętym mleczem pacierzowym, towarzyszy lekkie świecenie skóry na odpowiedniej części ciała. Jeżeli wyjmiemy obie półkule mózgowe i inne części mózgu, których uszkodzenie nie pociąga za sobą śmierci, to zwierzę pozbawione zostaje zdolności dowolnego zmieniania barw, bez udziału sztucznych podrażnień. W skutek zaś przecięcia mlecza pacierzowego zwierzę natychmiast umiera, a skóra jego przyjmuje barwę czarną, nie zmieniającą się już nawet pod działaniem sztucznych podrażnień. Podczas snu i odrętwienia zwierzęcia skóra jego staje się żółtawo-białą. Jeżeli usuniemy jedną tylko półkulę wielkiego mózgu, to odpowiednia połowa ciała zmienia barwę nierównie szybciej, aniżeli druga połowa i wciąż zachowuje ciemniejszy odcień. Jeżeli wyciąć jedno oko, to odpowiednia część ciała staje się jaśniejszą od tej, która nie została pozbawiona oka. Jeżeli wytniemy i drugie oko, to obiedwie połowy ciała przybierają jednakową barwę. Część skóry, na którą pada światło, przyjmuje ciemne zabarwienie. To działanie światła bywa nie zwykle silne podczas snu, podczas odrętwienia i po śmierci, ale i u zwierzęcia czuwającego także jest widoczne. Podobneż działanie wywiera ciemno niebieska barwa, ale czerwona i żółta nie wykazują go. Najprawdopodobniejsza przyczyna mienienia się barw u kameleonów tkwić musi w zamianie miejsca wyżej przytoczonych ciałek barwnych, ruchem których rządzą pewne szczególne nerwy.

— Nienawiść rasowa pomiędzy białymi a „czarnymi“ w Ameryce, trwa zawsze jeszcze, występując od czasu do czasu nader groźnie, jak tego przykładem następujący wypadek: W Południowej Karolinie, w pobliżu granic Georgji, leży małe miasto Hamburg. Na kilkanaście dni przed 4tym lipca (uroczystą rocznicą amerykańską) obiegały po mieście głuche wieści, że murzyni zamierzają święcić ten dzień powstaniem; następstwem tego było, że biali uzbroili się skwapliwie. Oczywiście, że o powstaniu oczekiwanem ani mowy nie było, jeno kompanja milicji z Negrów złożona, wystąpiła w paradzie i defilowała przez miasto, co zresztą dnia tego działo się wszędzie. Podczas tego ich pochodu, spotkali na jednej z ulic wóz z dwoma młodymi białymi, którzy nie zważając na postępujący tłum żołnierzy — zacięli konie i ruszyli z kopyta na czoło kolumny. Kompanja stanęła i po wymianie kilku zdań, na rozkaz dowódcy żołnierze rozstąpili się robiąc miejsce do przejazdu. Mimo to jednak nazajutrz ci dwaj biali uzyskali pozwolenie na aresztowanie oficerów wspomnianej kompanji, i 8go lipca miała się odbyć sądowa rozprawa. Przed oznaczoną na rozprawę godziną, o czwartej po południu, zebrał się tłum białych z miasta i okolicy, a wszyscy zaopatrzeni bronią palną; równocześnie kompanja milicji stanęła pod bronią w koszarach swoich. Groźna postawa demonstrantów zastraszyła tak dalece obrońców, że nawet nie zjawili się w sali sądowej; nie mniejsza bojaźń opanowała sędziów, tak, że nie mieli odwagi posłać po niezbędnych dla rozprawy rzeczników. Tymczasem banda białych, uzbrojona w liczbie do 300 głów, wysłała deputację do koszar milicji, z żądaniem, by żołnierze broń złożyli i z zagrożeniem, iż w razie nie zadośćuczynienia temu, w przeciągu pół godziny, będą niezwłocznie zaatakowani i ostrzeliwani. Jedna czy dwie godziny upłynęły na bezowocnej pertraktacji, gdyż murzyni, jako część regularnej siły zbrojnej państwa, słusznie wzbraniali się usłuchać samowolnego żądania pospólstwa; nie pozwalało im na to prawo, tem więcej zaś obawa o własne życie, gdy zostaną bezbronni. W końcu zniecierpliwieni oczekiwaniem biali rozpoczęli gęsty ogień ze strzelb i sztućców, oblężeni zaś murzyni nie pozostali oczywiście z odpowiedzią dłużni, i wnet padł jeden z tłumu. Tem rozwścieczeni biali zaczęli ciskać kartacze, i teraz naprawdę ztrwożeni murzyni rzucili się do ucieczki. Rozpoczęły się gonitwy za uciekającymi, przyczem zabito jednego a 25 schwytano i osadzono w zaimprowizowanem więzieniu pod strażą. Nazajutrz, zaledwie zaświtało po uprzedniej naradzie wyprowadzono sześciu i rozstrzelano. Pozostali częścią zostali uwolnieni, częścią umknęli z więzienia. Po uczcie i pijatyce na cześć odniesionego zwycięstwa, biali rozprószyli się i upłynął tydzień cały, zanim wiadomość o całem zdarzeniu dostała się na Północ. W Kongresie poruszono tę sprawę nasamprzód, stronnictwa stoczyły przy tej sposobności zaciętą walkę, a republikanie nieomieszkali napiętnować wypadek ten jako dowód, iż duch bezprawia i nieposłuszeństwa żarzy się dotąd na Południu. Rozumniejsi z pomiędzy demokratów południowych potępili barbarzyńską rzeź, jak należało, gorętsi zaś koryfeusze przeciwników starali się jeszcze usprawiedliwić haniebny postępek białych, co im atoli nie udało się tym razem. Prezydent Grant zarządził natychmiast śledztwo surowe, by winnych ukarać przykładnie.

— Kapitan Boydell, jeden z najdzielniejszych oficerów armji angielsko - indyjskiej, zginął jak opowiadają dzienniki Kalkuckie, przed kilku tygodniami, rozdarty przez tygrysa w pobliżu Simlah, rezydencji letniej wicekróla. Tygrys ów zabił był przedtem kilka zwierząt domowych i zawlókł je do pobliskiego lasu. Otóż kapitan Boydell postanowił ukarać drapieżcę, i w tym celu puścił się natychmiast w trop za nim, wziąwszy do towarzystwa jednego Shikaree (strzelca wschodnio indyjskiego) Nad wieczorem tego samego dnia ujrzeli tygrysa nad potokiem, jak właśnie zabierał się do wieczerzy, rozszarpując na kawałki nieżywego konia. Zbliżywszy się na odległość strzału, obydwaj wypalili, tygrys podskoczył ugodzony i ztoczył się do wody, gdzie pozostał kilka minut jak gdyby nieżywy. Boydell będąc pewnym, że zwierz zabity, zbliżył się i uderzył go kolbą sztućca. W mgnieniu oka tygrys zerwał się, i z strasznym rykiem rzucił się na piersi kapitana. Wprawdzie Shikaree strzelił po raz drugi, i tym razem śmiertelnie ugodził zwierza, atoli gdy przyszedł do leżącego na ziemi kapitana, ten nieżył już poszarpany okrutnie.

— „Pungolo“ neapolitański opisuje między innemi akt strasznej wendety, który niedawno miał miejsce w mieście Pontecorvo, w prowincji Terra di Lavoo. Drugiego sierpnia roku zeszłego został kupiec Nicolo del Prete we własnym sklepie przez niejakiego Giacoma Ferraioli zamordowany. Zabójca, po spełnionej zbrodni, schronił się do pobliskich koszar karabinierów, aby ujść doraźnej zemsty krewnych zabitego. Postawiony następnie przed sąd przysięgłych, podał na swoje usprawiedliwienie, że del Prete uwiódł obietnicami zaślubienia jego ukochaną pasierbicę, i po pięcioletniem z nią pożyciu odpędził haniebnie. Przysięgli uwolnili zabójcę. Pierwszego sierpnia br. Marja Grazia del Prete, młodziutka siostra zabitego, która właśnie co przedtem wyszła była z klasztoru, spotkała Ferraiola na ulicy, i rzuciwszy się na niego, wbiła mu sztylet w piersi z temi słowy: „Giń łotrze, ażebyś nie dożył rocznicy śmierci mojego brata!“ Zaraz potem sama oddała się w ręce sprawiedliwości.

— Porucznik Wheeler, który w r. 1874 podróżował po Nowym Meksyku i Colorado, był obecnym na uroczystości żniwa w szczepie Inajan Zemer i w ten sposób ją opisuje: Najgłówniejszą częścią zabawy był pewien taniec, który jednak od wszystkich nam znanych jest zupełnie odmienny. Charakterystyczna jego cecha polegała na rytmicznem uderzaniu o ziemię nogą. Dwudziestu pięciu tancerzy stało w szeregu i uskuteczniało od czasu do czasu ćwierć obrotu, podczas gdy jeden z nich klęcząc na ziemi instrumentem podobnym do piły tarł kamień, a powstający ztąd szmer miał przedstawiać mielenie zboża. Ciekawym był ubiór tancerzy. Twarze mieli pstro pomalowane, na głowie kawał drzewa pomalowanego na zielono, który miał reprezentować łuk i strzałę, szyję, ramiona i pierś pokrywały muszle i łańcuchy przetykane gałązkami drzew szpilkowych, na plecach mieli skóry wilcze. Nagie biodra okręcone były szarfami farbowanej wełny, a na goleniach i łokciach przymocowali skorupy żółwie i kopyta antylopy; w ręku trzymali wydrążone łupiny harbuzów napełnione ziarnkami kukurudzy, któremi silnie wstrząsali. Tańcowi towarzyszył śpiew monotonny, którego tekst zapożyczyli z innego jakiegoś plemienia. Odnosił się on do żniwa i podawał objaśnienia ceremonji. W kilka chwil po rozpoczęciu tańcu, pojawiło się jeszcze kilkunastu Indjan, których jednak powierzchowność inny widok przedstawiała. Byli zupełnie nadzy, mieli tylko ciało pomalowane w białe i czarne pasy. Głowy mieli ozdobione słonecznikami wplecionemi we włosy. Do tej uroczystości żniwa przywiązują Indjanie bardzo wielką wagę i nie chcą za nic odstąpić ani na krok od starodawnych zwyczajów i ceremonij.

— W r. 1761 wydał Jakób Rousseau słynny swój romans w listach pt. „Julja, albo nowa Heloiza:“ w krótkim czasie wywarł on kolosalne wrażenie. Zdania między literatami były wprawdzie podzielone, przyjęcie jednak było świetne, a szczególniej kobiety zachwycało to dzieło. Największe powodzenie miało u dworu; tryskało ono skrytemi a ciekawemi aluzjami. Dzieło to pokazało się w początkach karnawału. Pewien kolporter zaniósł je do księżniczki Talmont dnia, w którym był bal w Operze. Po objedzie księżniczka kazała się ubierać, a potem chcąc zabić czas przed pójściem na bal wzięła się do czytania przyniesionego romansu. O północy dała rozkaz, aby zaprzęgnięto do pojazdu i dalej czytała. Oznajmiono jej, że ekwipaż już gotowy; nie dała odpowiedzi. Służący widząc, że zapomniała o swym zamiarze, napomknęli, że jest druga godzina. „Nie ma się czego spieszyć!“ odpowiedziała, czytając dalej. Po niejakim czasie zadzwoniła, i zapytała, która godzina, bo zegarek jej stanął. „Już czwarta“ odpowiedziano. „W takim razie już za późno iść na bal; niech konie wyprzęgą.“ Kazała się rozebrać i przepędziła resztę nocy czytając książkę, która ją tak bardzo zainteresowała.

— Ogromny skarb wydobywają obecnie Amerykanie z dna morskiego w przystani newjorskiej. W czasie wojny o niepodległość zatonął tam był w miejscu zwanem Hall Gate (brama piekielna) okręt Hussar, który wieźć miał na swym pokładzie 5 milionów dolarów w złocie na żołd dla wojsk króla Jerzego. Rząd angielski już w r. 1795 napróżno usiłował wydobyć ten skarb z dna morskiego, równie jak umyślnie utworzona w tym celu akcyjna kompanja w r. 1809. Obecnie dopiero przy wydoskonalonych maszynach jest pewna nadzieja powodzenia tego przedsięwzięcia.

— Pamięć Donizettiego uczczono w ostatnich czasach umieszczeniem na fasadzie domu w Rzymie, w którym mieszkał niegdyś kompozytor (ulica Murata l. 78) tablicy marmurowej z następującym napisem: „W domu tym mieszkał Kajetan Donizetti z Bergamo i tu napisał swe dzieła „Furioso i Torquato Tasso.“ S. P. Q. R. Senat miasta Rzymu.“

Treść Nr. 4.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).